

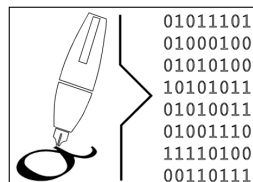
MICHAEL MOORCOCK

ŚNIAĆCE MIASTO

Sagi o Elryku

Tom IV

Przełożył: Radosław Kot



Tytuł oryginału:

The Dreaming City

Data wydania polskiego: 1994 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1977 r.

Pamięci Teda Carnella, wydawcy Nowych Światów (New Worlds) i Science Fantasy, który opublikował wczesne opowiadania o Elryku. Jego też sugestii zawdzięczam rozwinięcie ich w całą sage. Był to wspaniały i życzliwy człowiek, który dodawał mi sił na początku mej kariery. Bez niego niniejsze historie nigdy nie zostałyby spisane.

PROLOG

Marzenie lorda Aubeca

Z którego dowiadujemy się, jak nastał Wiek Młodych Królestw i jaką rolę odegrała w tym Mroczna Dama, Lady Myshella, której los spleść miał się jeszcze z przeznaczeniem Elryka z Melniboné. . .

Rzeka, widoczna z okna kamiennej wieży, wiła się nierówną, mroczną linią pomiędzy kopcami porośniętymi zbitą zielenią zagajników aż ku ścianie puszczy, sponad której wyrastał zwał okrytej szarozielonymi liszajami skały. Ta kamienna bryła zdawała się sięgać nieba, u szczytu zaś stapiała się w jedno z masywnymi głazami fundamentów zamku, który górował nad okolicą spoglądając w trzy strony, ku rzece, puszczy i kamienistemu pustkowiu. Jego wysokie, grube mury wzniesiono z granitu i zwieńczono wieżami, a właściwie całą gęstwiną wieżyc tak ustawionych, jakby miały osłaniać się nawzajem.

Aubec z Maladoru wciąż nie mógł wyjść z podziwu, dla ludzi, którzy zdołali kiedyś stworzyć tę budowlę i zastanawiał się czasem, jaki udział mogły mieć w tym czary. Posępne i tajemnicze zamczysko niewzruszenie trzymało straż na krawędzi świata.

Wieczne słońce ożółciło blaskiem zachodnie strony wież, w tym głębszym cieniu pograżając miejsca, do których nie sięgało. Na szarej powłoce nieba pojawiły się plamy błękitu, a podświetlone promieniami słonecznymi chmury załśniły odcieniami czerwieni, ale nawet ten wielki teatr na niebie nie był w stanie odciągnąć spojrzenia od ludzką ręką uczynionych turni Zamku Kaneloon.

Lord Aubec z Maladoru nie odszedł od okna, aż zapadły zupełne ciemności, a puszcza, skała i sam zamek stały się tylko jaśniejszymi cieniami w głębokiej czerni nocy. Lord przesunął ciężko dłonią po niemal zupełnie łysej głowie i skierował się ku stercie słomy, która służyła mu za łóżko.

Posłanie znajdowało się w niszy pomiędzy ścianą a przyporą i było dobrze oświetlone dużą latarnią. Mimo to w pomieszczeniu panował chłód. Aubec położył się na słomie bacząc, by jego jedyna broń, dwuręczny, olbrzymi miecz znalazł się tuż obok. Wyglądał, jakby wykuto go dla giganta — a obecny właściciel spokojnie mógł za takiego uchodzić — szeroki, masywny, z rękojeścią wysadzaną

klejnotami i ponad półtorametrowym, gładkim ostrzem. Obok stała stara, ciężka zbroja z hełmem ozdobionym nieco sfatygowanymi, czarnymi piórami poruszającymi się lekko w powiewach wpadającego przez okno wiatru.

Maladoranin zasnął.

Sny miał, jak zwykle, niespokojne. Potężne armie maszerowały przez płonące krajobrazy, proporce trzepotały na wicherze barwami setek narodów, ostrza włóczni wyrastały całymi lasami, lśniące hełmy rozlewały się w morza. Rogi grały dzikie wojenne wyzwania, a uderzenia kopyt mieszały się z pieśniami i krzykami żołnierzy. Te sny brały swój początek jeszcze w młodości śpiącego, kiedy to na polecenie Królowej Eloarde z Klantu podbił narody Południa, docierając niemal do krawędzi świata. Jeden Kaneloon oparł się jego sile, a to dlatego, iż nie było takiej armii, która zgodziłaby się pójść za nim pod to zamczysko.

Chociaż Maladoranin wyglądał na tęgiego wojownika, sny owe były mu dziwne niemiłe i budził się kilka razy w ciągu nocy, potrząsając głową, jakby chciał się uwolnić od majaków.

Już bardziej pragnął widzieć Eloarde, chociaż to ona winna była jego obecnej udreće, nigdy jednak nie napotkał jej we śnie. Wolałby marzyć o jej miękkich, czarnych włosach wijących się wokół bladej twarzy, o czerwonych ustach, zielonych oczach i dumnej a pogardliwej postawie. To ona wysłała go na tę wyprawę, a on, chociaż nijak wyruszać nie pragnął, nie miał jednak wyboru, jako że kochanka jego była równocześnie jego Królową. To tradycja postanowiła, że Mistrz Rycerski zawsze zostawał oblubieńcem Królowej i lordowi w głowie nigdy nie postać, by mogło być inaczej. Jego zadaniem, jako Mistrza Rycerskiego Klantu, było słuchać rozkazów, nawet gdyby sam jeden odszukać miał i podbić Zamek Kaneloon, by uczynić zeń część cesarstwa. Można by wówczas powiedzieć, że władztwo Królowej Eloarde rozciąga się od Smoczej Wyspy aż do Krańca Świata.

Poza Krańcem Świata nie było już nic. Nic, oprócz burzącej się nieustannie materii Chaosu, który rozciągał się od tego miejsca ku nieskończoności, lśniąc przy tym wszystkimi kolorami i falując niewyraźnymi acz potwornymi kształtami. Ziemia była miejscem panowania Ładu. Stanowiła ona jednak tylko jego enklawę pływającą po oceanie zmiennej materii Chaosu — ten porządek trwał od eonów lat.

Nad ranem lord zgasił latarnię, założył nagolenniki i kolczugę, nasadził na głowę pierzasty hełm, narzucił miecz na ramię i wyszedł z kamiennej wieży, jedyną pozostałością po jakimś starożytnym gmachu.

Odziane w skórę stopy potykały się o kamienie, które wyglądały jakby były nadtopione. Można by sądzić, że to materia Chaosu dotarła tu kiedyś, pokonując skałę Kaneloonu, co było jednak, rzecz jasna, zupełnie niemożliwe. Wszyscy

bowiem wiedzieli, że granice Ziemi są stałe i niezmiennie.

Rycerzowi wydało się, że zamek jest teraz bliższy niż wieczorem, ale szybko wytłumaczył sobie to złudzenie ogromem budowli. Ruszył brzegiem rzeki zapadając się po kostki w rozmiękłym gruncie. Gałęzie potężnych drzew osłaniały go przed palącymi promieniami słońca. Po chwili zbliżył się do podnóża skały. Zamek był gdzieś w górze, poza polem widzenia. Wędrowiec musiał co rusz używać miecza jak maczety, by utorować sobie drogę pomiędzy zbitą roślinnością.

Kilka razy odpoczywał, popijając zimną wodę z rzeki i zraszając całą głowę. Nie spieszył się, bowiem wcale nie ciekawiło go, co znajdzie w Kaneloonie. Żałował po niewczasie roli, którą odegrała w jego życiu Eloarde, chociaż był pewien, że dobrze zasłużył sobie na awans, który go spotkał. Ilekroć pomyślał o tajemniczym zamczysku, przechodził go dreszcz. Podobno zamieszkiwała tam tylko jedna ludzka istota, Mroczna Dama, bezlitosna czarodziejka, mająca na swe rozkazy cały legion demonów i innych stworów Chaosu.

Okolo południa dotarł do stóp urwiska i po trosze z ulgą, po trosze z niepokojem, dostrzegł wąską ścieżkę prowadzącą w górę. W razie potrzeby gotów był nawet wspinać się po skale. Nie należał jednak do tych ludzi, którzy mając wybór decydują się na trudniejszą drogę, toteż obwiązał miecz rzemieniem, zarzucił broń na plecy, by nie obijała się u boku, i wciąż w podłym humorze, ruszył krętym szlakiem.

Omszałe skały bez wątpienia zostały już solidnie nadgryzione zębem czasu, co zadawało kłam spekulacjom paru filozofów szukających uporczywie odpowiedzi na pytanie, czemu to wieść o Zamku Kaneloon rozeszła się dopiero kilka pokoleń temu. Zdaniem Maladoranina rozwiązanie tej zagadki było całkiem proste — otóż badacze i podróżnicy dopiero niedawno odważyli zapuścić się w te strony. Spojrzał w dół, na wierzchołki drzew i drżące na wietrze liście. W dali widać było wieżę, w której spędził noc, a za nią ciągnęła się równina, na której nawet przez wiele dni wędrowki nie udałoby się napotkać ani śladu człowieka. Pustkowie na pomocy, wschodzie i zachodzie... a Chaos na południu. Lord nigdy nie był jeszcze tak blisko krawędzi świata i interesowało go, jaki wpływ mógłby mieć na jego umysł widok niestałej tkanki Chaosu.

W końcu wspiał się na szczyt urwiska i wzięwszy się pod boki spojrzał na odległy o milę Zamek Kaneloon. Najwyższe spośród wieżyc ginęły w chmurach, a rozległe mury wtapiały się w skałę, z obu brzegów docierając do ścian urwiska. Po drugiej zaś stronie, w dole, kotłowała się zmieniając barwy substancja Chaosu, miejscami szara, gdzie indziej niebieska, brunatna lub żółta. Falowała, zdawała się sięgać ku zamkowi niczym rozbijające się o skały, wzburzone morze.

Rycerz zamarł w miejscu. Poczuł się nieopisanie mały i nieistotny wobec potęgi Chaosu. Dotarło doń nagle, że jeśli ktokolwiek rzeczywiście zamieszkuje w zamku, to albo musi być istotą o niezwykle odpornym umyśle, albo kimś szalonym. Westchnął i ruszył ku tak bliskiemu już celowi. Wierzch skały był cał-

kiem gładki, zielony obsydian nie miał najmniejszej skazy, gładka powierzchnia odbijała barwne roztańczenie Chaosu, którego lord ze wszystkich sił starał się nie dostrzegać.

Zamek Kaneloon miał wiele wejść, wszystkie mroczne i odstrasające, a sądząc po nieregularnym kształcie niektórych, były pośród nich również wyloty jaskiń.

Maladoranin przystanął, zanim wybrał jedno i zdecydowanie skierował doń kroki. Wniknął w ciemność, która zdawała się zagarniać go na całą wieczność. Wewnątrz było zimno, wiało pustką i samotnością.

Wkrótce się zgubił. Ku wielkiemu zdziwieniu, nie słyszał nawet echa własnych kroków. Potem w ciemności zaczęły majaczyć jakieś zarysy, niby ścian krętych korytarzy, które nie sięgały z pewnością istniejącego gdzieś dachu, ale zbiegały się kilkadziesiąt centymetrów nad jego głową. Był w labiryncie. Zatrzymał się i rozejrzał, stwierdzając z przerażeniem, że labirynt rozciąga się we wszystkich kierunkach. Jemu zaś zdawało się, że wszedł tu prostą drogą. . .

Przez chwilę czuł, że ogarnia go panika, opanował się jednak i drżącą dłonią ujął miecz. Którędy teraz? Ruszył przed siebie nie wiedząc, czy idzie naprzód czy się cofa.

Przyczajone gdzieś w głębi umysłu szaleństwo wykiełkowało strachem, w ślad za którym pojawiły się niewyraźne postaci mamrotliwych, diabelskich i przerażających zjaw przemykających z kąta w kąt.

Jedna z nich rzuciła się na przybysza; ciał mieczem i zjawisko umknęło, najwyraźniej bez szkody. Pozostałe podchodziły jednak bliżej i bliżej, było ich coraz więcej. Zapomniawszy o lęku, Maladoranin tak długo wymachiwał mieczem, aż wszystkie uciekły. W końcu opuścił ramię i ciężko dysząc, oparł się na rękojeści. Rozejrzał się wkoło, a strach skorzystał ze sposobności i powrócił rzeszą istot z wielkimi, rozjarzonymi ślepiami i szukającymi ofiary pazurami. Złośliwe oblicza wykrzywiały się szyderczo, upodabniając się w okrutnej parodii do twarzy starych przyjaciół i krewnych lorda. Ten rzucił się z krzykiem na potwory, by rozgromić je żelazem, ale ledwie przegnał jedną grupę, za następnym zakrętem korytarza wpadał zaraz na kolejną.

Szyderczy śmiech wypełnił kręte przejścia atakując ze wszystkich stron. Lord potknął się i upadł pod ścianą. Mur, zrazu twarda skała, zmiękł po chwili i poddał się. Maladoranin legł połową ciała w jednym korytarzu, połową w innym. Na czworakach przesunął się na drugą stronę i ujrzał Eloarde. Twarz kochanki starzała się błyskawicznie.

Oszalałem — pomyślał. — Czy to prawda czy ułuda. . . A może jedno i drugie?

Wyciągnął dłoń ku postaci.

— *Eloarde!*

Zniknęła, by ustąpić miejsca stłoczonej hordzie demonów. Lord wstał i zatonął wkoło mieczem. Stwory odsunęły się przezornie. Ruszył na nie z dzikim krzykiem i to pomogło. Strach ulotnił się gdzieś, a wraz z nim zniknęły i zjawy. Maladoranin zrozumiał, czym naprawdę były.

Odzyskiwał już chłodną rozwagę, gdy niepokój dał znać o sobie raz jeszcze i złośliwie wygrażające mu ostrymi głosami stwory ponownie wyrosły ze ścian.

Tym razem nie próbował z nimi walczyć, przystanął tylko i zajął się stanem własnego umysłu. Spokój, spokój... Demony zbladły i zniknęły, a po chwili ulotniły się także ściany labiryntu. Rycerzowi wydało się, że otacza go tchnąca kojącym, idyllicznym nastrojem dolina. Nadal jednak dostrzegał wkoło mgliste zarysy ścian i przemykających tu i ówdzie szpetnych postaci.

Zrozumiał, że wizja doliny jest w równym stopniu iluzją, jak i kamienne korytarze. Po chwili jedno i drugie zniknęło. Stał w gigantycznej sali zamku, który mógł być jedynie Zamkiem Kaneloon.

Był sam pośród mnogości mebli i sprzętów. Nie wiadomo skąd spływał na to wszystko jasny i równy blask. Rycerz podszedł do zarzuconego zwojami stołu. Jego kroki wywoływały echo sugerujące, że tym razem jest to jawa. Z sali prowadził dokądś cały szereg nabijanych ćwiekami drzwi. Chwilowo jednak Maladoranin nie był ciekaw, co się za nimi znajduje. Zamierzał raczej przejrzeć zwoje i sprawdzić, czy nie odnajdzie na nich odpowiedzi na wiążące się z Kaneloonem zagadki.

Oparł miecz o stół i sięgnął po pierwszy zwój.

Welin był przedni a całość wręcz piękna, cóż z tego jednak, skoro czarne litery pochodziły z zupełnie obcego mu alfabetu. Zdziwił się, bowiem choć w różnych krainach spotkać można było mnogość dialektów, na Ziemi istniał zasadniczo tylko jeden język. Na następnym zwoju odnalazł jeszcze inne znaki, trzeci zaś zawierał szereg starannie stylizowanych rysunczków, które powtarzały się w logicznej zapewne sekwencji, co sugerowało, iż to też jest zapis mowy. Zniechęcony odrzucił pergamin, uniósł miecz i zaczerpnąwszy głęboko powietrza, zakrzyknął:

— Kto tu rządzi? Ktokolwiek to jest, niech wie, że lord Maladoru, Mistrz Rycerski Klantu i Zdobywca Południa, obejmuje ten zamek w imieniu Królowej Eloarde, Cesarzowej Krain Południowych!

Wypowiedziawszy te dobrze znajome słowa poczuł się nieco pewniej. Odpowiedź jednak nie nadeszła. Uniósł nieco hełm i podrapał się w kark, potem zarzucił miecz na ramię i skierował się do największych drzwi.

Zanim jednak do nich podszedł, te otwarły się same ukazując przypominającą człowieka istotę o hakowatych ramionach, która wykrzywiła się w uśmiechu i spojrzała na gościa.

Ten cofnął się o krok, potem o następny, ale przystanął, bowiem owo coś jedynie obserwowało go tkwiąc w bezruchu.

Istota była wyższa od niego o jakieś trzydzieści centymetrów, z owalnymi oczami przypominającymi owadzie i w podobny sposób pustymi. Oblicze miała kanciaste, o metalicznym odcieniu. Większość ciała wykonano z polerowanego metalu łączonego nitami niczym części zbroi. Na głowie osadzono dopasowany kaptur nabijany brązem. Istota robiła wrażenie nieprawdopodobnie silnej, i to nie wykonując najmniejszego ruchu.

— Golem! — stwierdził Maladoranin, który przypomniał sobie legendy o podobnych istotach stworzonych przez człowieka. — Jakież to czary powołały cię do życia?

Golem nie odpowiedział, ugiął tylko powoli ręce, które w istocie zbudowane były z czterech długich sztab metalu każda. Nie przestawał się przy tym uśmiechać.

Maladoranin wiedział już, że tym razem nie ma do czynienia ze zjawą podobną do tych w labiryncie. To monstrum istniało naprawdę i było o wiele silniejsze od lorda, który wśród ludzi uchodził za mocarza. Człowiek nie był w stanie pokonać tego potwora. Wysłannik Królowej nie mógł się też wycofać.

Pojękując złączami golem wszedł do sali i wyciągnął lśniące ramiona w kierunku przybysza.

Maladoranin mógł albo zaatakować, albo uciekać. Ucieczka z całą pewnością nie miała szans powodzenia, pozostał zatem atak.

Rycerz ujawszy wielki miecz w obie dłonie, ciął golem a w tułów, który wydawał się najsłabszym jego miejscem. Potwór obniżył ramię i miecz uderzył w nie z hukiem, który wprawił całe ciało lorda w wibrację. Rycerz cofnął się, a nieczuły na ciosy przeciwnik podążył za nim.

Maladoranin obejrzał się, przebiegając wzrokiem zakamarki sali w nadziei, że natrafi na jakąś broń potężniejszą od miecza, ale dostrzegł jedynie cały szereg zdobnych tarcz zawieszonych na ścianie po lewej stronie. Podbiegł do muru i zerwał jedną z nich. Była lekka, podłużna, niemal prostokątna, zbudowana z kilku warstw drewna układanego słojami na zmianę w jedną i drugą stronę. Wyglądała rozpaczliwie krucho w porównaniu z golemem, zawsze jednak stanowiła jakąś ochronę.

Olbrzym podszedł, a Maladoraninowi zdało się, że podobnie jak w demonach labiryntu, dostrzega w nim coś znajomego, ale wrażenie to było ulotne. Uznał, że widocznie czary Kaneloonu zaczynają mieszać mu myśli.

Istota uniosła sztaby prawego ramienia i wymierzyła szybki cios w głowę Maladoranina. Ten uchylił się, osłaniając się mieczem. Metal uderzył o metal, a lewa ręka potwora zamierzyła się na żołądek lorda. Tarcza wytrzymała, chociaż solidnie przy tym ucierpiała. Mężczyzna ciął w złącza nóg golema.

Napastnik wpatrywał się ciągle gdzieś w przestrzeń, jakby niespecjalnie zainteresowany Maladoraninem. Zbliżał się niczym ślepiec, podążając za lordem, który wskoczył tymczasem na stół, rozrzucając zwoje i mieczem uderzył golema

w głowę, wgniatając brązowy hełm i wysadzając nity. Potwór zachwiał się i złapał za stół, podnosząc go i zrzucając przy tym Maladoranina na podłogę. Tym razem rycerz skierował się ku drzwiom i sięgnął do klamki, podwoje jednak nie ustąpiły.

Ciął, ale miecz został odbity. Oparty plecami o drzwi, Maladoranin osłonił się tarczą, która rozpekła się pod ciosem metalowej ręki, a ramię lorda przeszył straszliwy ból. Pchnął golema, ale już nie był w stanie sprawnie władać ciężkim orężem.

Teraz Maladoranin wiedział, że przegrał. Nawet najwyższy kunszt walki był bezużyteczny w zestawieniu z nadludzką siłą golema. Przy następnym ciosie potwór zdołał się uchylić, ale niezupełnie, bowiem jedna z włóczni rozdarła mu pancerz i utoczyła krwi. Zrazu ranny nie poczuł bólu.

Zebrał się w sobie, odrzucił uchwyt tarczy i resztki drewna, po czym pewniej uchwycił miecz.

Pozbawiony duszy demon nie zna słabości — pomyślał rycerz. — A skoro nie jest inteligentny, nie da się z nim dogadać. Czego może bać się golem?

Odpowiedź była prosta: czegoś równie silnego lub silniejszego niż on sam.

Tu trzeba sprytu, a nie siły.

Maladoranin z golemem na karku podbiegł do przewróconego stołu i przeskoczył mebel. Napastnik potknął się, ale niestety, nie upadł. Został jednak przez to nieco w tyle, co pozwoliło Aubecowi dotrzeć do drzwi, przez które golem wszedł. Otworzyły się na kręty i mroczny korytarz przypominający zakamarki wcześniejszego labiryntu. Uciekinier zamknął je, ale nie znalazł niczego do zablokowania, pobiegł zatem korytarzem, podczas gdy golem zmagał się z przeszkodą, by po chwili ruszyć w dalszy pościg.

Korytarz wił się we wszystkich kierunkach i chociaż chwilami potwór ginął za zakrętem, cały czas było go słytać. Maladoranin bał się, że za którymś rogiem wpadnie prosto na golema i nie zdąży nawet wyhamować. To akurat się nie zdarzyło, dotarł za to do następnych drzwi, które wpuściły go z powrotem do tej samej sali.

Niemal z ulgą powitał znajomy widok, golem bowiem skrzypiał już i podzwaniał z tyłu. Potrzebna była jakaś osłona, jednak w tej części sali nie dostrzegł żadnej tarczy, ścianę zdobiło jedynie wielkie, okrągłe lustro z wypolerowanego metalu. Było za ciężkie, by nim manewrować, niemniej spróbował ściągnąć je ze ściany. Z hukiem wylądowało na podłodze. Aubec ustawił je między sobą a golemem, który właśnie pojawił się w wejściu.

Uchwyciwszy za łańcuchy, którymi zwierciadło było przedtem przymocowane do haka w murze, uniósł prowizoryczną tarczę, ledwie potwór ruszył w jego kierunku.

Golem krzyknął.

Maladoranin zdumiał się. Olbrzym zamarł w miejscu, by w następnej sekundzie odskoczył od zwierciadła. Lord postąpił ku potworowi, który odwrócił się

i pojękując metalicznie uciekł przez te same drzwi, którymi wszedł.

Wciąż zdziwiony rycerz z ulgą usiadł na podłodze i przyjrzał się lustru. Z pewnością nie miało w sobie nic magicznego, chociaż bez wątpienia było doskonałe. Uśmiechnął się.

— Ta istota czegoś się jednak boi — powiedział głośno. — Siebie samej!

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się hałaśliwie. Zaraz jednak zmarszczył brwi. — Teraz pora odnaleźć tego, kto stworzył potwora. Czas na zemstę! — pomyślał. Owinął mocniej łańcuchy lustra wokół ramienia i podszedł do kolejnych drzwi uznając, że prędzej czy później golem może zakończyć pospieszny obchód labiryntu i wrócić skąd wybiegł. Podwoje, przed którymi stanął, nie chciały ustąpić, musiał zatem utorować sobie drogę mieczem. Wkroczył do jasno oświetlonego korytarza. Na jego końcu widniały następne drzwi, tym razem otwarte.

W powietrzu unosił się zapach piżma, przypominający mu Eloarde i wygody Klantu.

Wszedłszy do okrągłej komnaty, stwierdził, iż jest to sypialnia. Woń perfum była tu jeszcze intensywniejsza. Podszedł do drzwi w przeciwległej ścianie. Za nimi wily się gdzieś w górę kamienne schody. Wspinając się nimi mijał oszklone szmaragdami lub rubinami okna, za którymi migały jakieś kształty sugerujące, iż znajduje się w tej części zaniku, która wychodzi na ocean Chaosu.

Schody zdawały się prowadzić na szczyt wieży. Gdy dotarł do małych drzwiczek u ich krańca, musiał przystanąć na chwilę, by odzyskać oddech. Ostatecznie pchnął je i wszedł.

Jedną ze ścian pomieszczenia zajmowało olbrzymie okno z czystego szkła, przez które widać było harce materii Chaosu. Obok stała wyraźnie oczekująca go kobieta.

— Zaiste jesteś mistrzem, Aubecu — powiedziała z lekko ironicznym uśmiechem.

— Skąd znasz moje imię?

— Do tego nie trzeba było czarów, lordzie z Maladoru. Sam wykrzyknąłeś je głośno, gdy po raz pierwszy ujrzałeś wielką salę w jej prawdziwej postaci.

— A labirynt, dolina, czy to nie były czary? — spytał zgryźliwie. — A golem? Czy cały ten przeklęty zamek nie jest dziełem magii?

Wzruszyła ramionami.

— Nazywaj to sobie jak chcesz, jeśli wolisz takie opowieści od prawdy. Wszelkie czary, przynajmniej tak, jak ty je widzisz, to nic innego, jak tylko wykorzystanie naturalnych sił wszechświata.

Nie odpowiedział, jako że nigdy nie czuł zamiłowania do podobnych dysput. Obserwując filozofów Klantu doszedł do wniosku, że mądre i tajemnicze słowa zwykle skrywać miały nader zwyczajne zjawiska i idee. Odrzucił kobietę spojrzeniem pełnym urażonej niewinności.

Była przystojna, z zielonobłękitnymi oczami i jasną karnacją. Kolor długiej sukni harmonizował z barwą oczu. W jakiś tajemniczy sposób była piękna i tak jak pozostali mieszkańcy Zamku Kaneloon, też kogoś Aubecowi przypominała.

— Rozpoznajesz Kaneloon? — spytała.

Zbył jej pytanie.

— Dość tego. Zaprowadź mnie do władców tego zamczyska.

— Nie ma tu nikogo, oprócz mnie, Myshelli, Mrocznej Damy. Ja tu rządę.

— To po to pokonałem taki kawał uciążliwej i najeżonej niebezpieczeństwami drogi, by spotkać się z tobą jedynie? — spytał niezadowolony.

— Te niebezpieczeństwa były większe, niż ci się zdaje, lordzie. Wszystkie potwory pochodziły wprost z twego umysłu.

— Nie kpj ze mnie, pani!

— Mówię prawdę — roześmiała się. — Zamek przywołuje swe demoniczne straże z wyobraźni napastników. Rzadko pojawia się ktoś, kto potrafi obronić się przed tworam i swego umysłu. Od dwustu lat nie zdarzył się tu nikt taki. Wszyscy padali pokonani własnym strachem. Aż do teraz...

Uśmiechnęła się ciepło do niego.

— A jaka czeka mnie za zwycięstwo nagroda?

Znów się roześmiała i wskazała na okno i widniejący za nim kraniec świata.

— Tam nic nie ma. Jak dotąd. Jeśli tam wnikniesz, znów spotkasz się z materią twych ukrytych pragnień, bowiem na zewnątrz tej części zamku nie ma niczego innego, na czym człowiek mógłby się oprzeć.

Spojrzała nań z podziwem, on zaś chrząknął zakłopotany.

— Co jakiś czas zdarza się — powiedziała — że przychodzi do Kaneloonu śmiałek, który podoła próbie. Wówczas granice świata mogą zostać przesunięte, bowiem gdy człowiek staje przeciwko Chaosowi, ten musi się cofnąć, co powołuje do istnienia nowe ziemie!

— A zatem takie chowasz dla mnie przeznaczenie, czarodziejko!

Spojrzała na niego poważnie. Jej uroda zdawała się nikać, gdy podniósł na nią wzrok. Lekko przysunęła się i niby przypadkiem, musnęła go skrawkiem szaty. Nerwowo zacisnął palce na rękojeści miecza.

— Twoja odwaga zostanie nagrodzona. — Spojrzała mu prosto w oczy i nie musiała dodawać więcej, bowiem jasnym się stało, co to za nagroda. — A potem... Zrobisz, co ci nakazę i ruszysz przeciwko Chaosowi.

— Ależ pani, wiesz na pewno, jakie są tradycyjne obowiązki Mistrza Rycerskiego Klantu. Czy słyszałaś o tym, że musi on dochować wierności Królowej? Nie mogę złamać danego słowa! — Uśmiechnął się lekko. — Przybyłem tu, by zamek ten przestał zagrażać królestwu mej pani, a nie po to, by zostać twym sługą i kochankiem.

— Ale Kaneloon nie jest dla nikogo zagrożeniem.

— W tym jednym chyba masz rację...

Odstąpiła o krok i raz jeszcze zmierzyła go wzrokiem. Dla niej było to coś pozbawionego precedensu. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się, by odrzucono jej propozycję. Na dodatek podobał jej się ten mocny mężczyzna, którego charakter łączył w jedno odwagę i wyobraźnię. To niesamowite, jak przez kilka stuleci zdołały rozwinąć się tak osobliwe zwyczaje, które sprawiają, iż mężczyzna traci głowę dla kobiety, której najpewniej nigdy nie kochał i gotów jest świata poza nią nie widzieć. Spojrzała nań raz jeszcze, gdy stał sztywny i nieco zdenerwowany.

— Zapomnij o Klancie — powiedziała. — Pomyśl raczej o władzy, którą możesz posiadać. O sile prawdziwego tworzenia!

— Pani, zajmuję ten zamek dla Klantu. Czynię to, po co tu przybyłem. Jeśli odejdę stąd żywy, uznany zostanę za zdobywcę, a tobie pozostanie uznać ten stan rzeczy.

Prawie go nie słuchała. Szukała sposobu, by przekonać tego uparciucha, iż jej zadanie jest nieporównanie ważniejsze od jego misji. Może dalej próbować go uwieść? Nie, to tylko go zrazi. Potrzebna jest inna strategia.

Czuła, jak piersi jej twardnieją mimowolnie, ile razy nań spojrzy. Wolałaby jednak go uwieść. Zawsze nagradzała w ten sposób bohaterów, którzy pokonali pułapki Kaneloonu. Nagle wpadła na pomysł co powiedzieć.

— Pomyśl, lordzie Aubecu, o nowych krainach, które przyłączysz do ziem twojej królowej! — wyszeptała.

Zmarszczył czoło.

— Czemu nie rozciągnąć granic Imperium jeszcze dalej? Czemu by nie stworzyć nowych prowincji?

Patrzyła z niepokojem, jak rozważa tę ideę drapiąc się po łysinie.

— Zaczynasz wreszcie mówić do rzeczy — stwierdził, chociaż niezbyt pewnie.

— Pomyśl też o zaszczytach, które spłyną na ciebie, gdy przyniesiesz w darze nie tylko skromny Kaneloon, ale i jeszcze terytoria, które leżą za nim!

Potań podbródek.

— Tak. Tak — powiedział i jeszcze bardziej zmarszczył czoło.

— Nowe równiny, góry, morza. Nowi mieszkańcy nowych krain, całe nowe miasta pełne ludzi, którzy dopiero co powstałi, ale żywią pamięć o całych pokoleniach swoich przodków! A wszystko to może być twoje dzieło, lordzie Maladoru, uczynione dla Królowej Eloarde i Lormyra!

Uśmiechnął się blado, gdy jego wyobraźnia zaczęła ożywać karmiona takimi słowami.

— Tak! Skoro poradziłem sobie tutaj, mogę to samo zrobić i tam! To będzie największy wyczyn w historii! Moje imię powtarzać będą w legendach. Aubec, Władca Chaosu!

Spojrzała na niego czule pamiętając jednak, że jej przemowa była przynajmniej w połowie oszustwem.

Zarzucił miecz na ramię.

— Spróbuję, pani.

Stanęli razem przy oknie patrząc, jak Chaos toczy fale ku nieskończoności. Nawet dla niej widok ten zawsze był w jakimś stopniu nowy, zmieniał się bowiem nieustannie. W tej chwili grzywacze były głównie czerwone i czarne. Jakieś pomarańczowe macki wysuwały się z głębiny.

Osobliwe kształty wyłaniały się z fal, nigdy nie dość wyraźne, aby móc je w pełni rozpoznać.

— To domena Władców Chaosu. Co oni na to powiedzą?

— Nic, a i zrobić skłonni będą niewiele, bowiem muszą być posłuszni Kosmicznej Równowadze, a ta postanawia, że jeśli człowiek stawi czoła Chaosowi, wówczas będzie miał prawo stworzyć nowe ziemie. W ten sposób Ziemia rozrasta się powoli.

— Jak się tam dostanę?

Skorzystała ze sposobności, by ująć jego muskularne ramię i skierować je na okno.

— Tam, widzisz tę ścieżkę, która prowadzi z wieży ku urwisku? — Spojrzała nań ponagląco. — Widzisz czy nie?

— Ach, tak. Teraz dostrzegam. Tak, jest ścieżka.

Uśmiechnęła się do siebie.

— Zaraz usunę barierę — powiedziała.

Lord wyprostował hełm na głowie.

— Jedynie dla Klantu i Eloarde podejmuję to wyzwanie.

Podeszła do ściany i podniosła okno. Nie spojrział nawet na nią, krocząc dumnie wskazaną drogą ku kolorowemu zamgleniu nad brzegiem urwiska.

Patrzyła za nim, aż zniknął, a uśmiech nie opuszczał jej warg. Jak prosto tak pokierować nawet bardzo silnym mężczyzną, by wybrał pożądaną drogę! Najpewniej rzeczywiście stworzy nowe lądy i włączy je do władztwa swej królowej, może jednak okazać się, że mieszkańcy nowo powstałych krain nie chcą wcale słyszeć o Eloarde czy Klancie. W rzeczy samej, jeśli Aubec dobrze wywiąże się z zadania, wówczas powstanie coś, co naprawdę będzie w stanie zagrozić Klantowi.

Owszem, podobał jej się, ale może głównie dlatego, że był tak niedostępny. Podobnie potraktowała tego bohatera, który prawie dwieście lat temu stworzył z Chaosu ojczyznę Aubeca. Cóż to był za mężczyzna! Ale i on, jak wielu przed nim, nie potrzebował innego bodźca, ja obietnica jej ciała.

Słabość lorda Aubeca tkwiła w jego sile, pomyślała. Teraz jednak zniknął już w ciężkim oparze.

Zrobiło jej się trochę smutno, że tym razem wypełnienie zadania wyznaczonego jej przez Władców Ładu odbyło się bez przyjemnego urozmaicenia.

Ale może, pomyślała, nagrodą niech będzie bardziej wysublimowana przyjemność i satysfakcja płynąca z udanej manipulacji.

Władcy Chaosu powierzyli jej Kaneloon i jego sekrety już wiele stuleci temu. Sukcesy jednak były powolne, niewielu bowiem bohaterów uchodziło z życiem ze zmagañ z własną podświadomością.

Niemniej wiązały się z tym zadaniem pewne korzyści, zdecydowała z uśmiechem. Przeszła do innej komnaty, by przygotować przeniesienie zamku na nowy kraniec świata.

W ten właśnie sposób rzucone zostało ziarno, z którego wykiełkowały Młode Królestwa. Tak rozpoczęła się Era Człowieka, który z czasem miał stać się sprawcą upadku Melniboné.

KSIĘGA PIERWSZA

MIASTO SNÓW

Mojej matce poświęcam

Z księgi tej dowiadujemy się, jak wyglądał powrót Elryka do Imrryru, co tam uczynił i jak, koniec końców, nie zdołał umknąć przeznaczeniu. . .

Rozdział 1

Która godzina? — Czarnobrody mężczyzna zdjął połączony hełm i odrzucił go, nie patrząc gdzie upadł. Ściągnął skórzane rękawice i zziębnięty do szpiku kości, przysunął się do buzującego ognia.

— Dawno już minęła północ — stęknął któryś z pozostałych zbrojnych zgromadzonych wokół paleniska. — Pewien jesteś, że on przyjedzie?

— Podobno to słowny człowiek, nieprawdaż?

Wysoki, bladolicy mężczyzna wypowiedział te słowa, jakby spluwał nimi pomiędzy wykrzywionych złośliwie, wąskich warg. Spojrzał na przybyłego dopiero co towarzysza i uśmiechnął się szyderczo, po wilczemu.

Ten odwrócił się, wzruszając ramionami.

— Na nic cała twoja ironia, Yarisie. Pojawi się na pewno. — Mówił to jak ktoś, kto pragnie dodać sobie animuszu.

Wokół ognia siedziało teraz sześciu mężczyzn. Tym szóstym był Smiorgan, hrabia Smiorgan Łysy z Purpurowych Miast. Niski, zwalisty pięćdziesięciolatek o poznaczonej szramami twarzy, częściowo porośniętej grubym, czarnym włosiem. Wzrok miał ponury, a serdelkowate palce błędziły nerwowo po bogato zdobionej rękojeści miecza. Zgodnie z przydomkiem pozbawiony był czupryny. Na misterną, lśniąca broń narzucił obszerny wełniany płaszcz w kolorze spłowiałej purpury.

— Nigdy nie kochał swego kuzyna — powiedział chropawo Smiorgan. — Zapowiada się niezła rozróżba. Yyrkoon zasiada na Rubinowym Tronie w jego pałacu, a o nim mówi jak o zdrajcy wyjętym spod prawa. Trudno będzie Elrykowi odzyskać tron i narzeczoną, ale my pomożemy mu, bowiem jest człowiekiem godnym zaufania.

— Noc chyba natchnęła cię wiarą, hrabio — uśmiechnął się blado Yaris. — optymizm to rzadki skarb w dzisiejszych czasach. Ja bym powiedział... — Urwał, by zaczerpnąć głęboko powietrza, i spojrzał badawczo na swoich towarzyszy. Przemknął wzrokiem od szczupłolicego Dharmity z Jharkor do Fedana z Lormyr, który przygryzł wargi i wbił wzrok w ogień.

— No, Yarisie — zachęcił go Naclon, mieszkaniec Vilmirianu o pospolitych

rysach. — Posłuchajmy, co takiego ciekawego masz nam do powiedzenia.

Yaris spojrzął na Jiku, dandysa, który ziewał właśnie w ramach świadomej nieuprzejmości i drapał się po długim nosie.

— Dalej! — Niecierpliwił się Smiorgan. — O co chodzi, przyjacielu?

— Powiedziałbym, że im szybciej przestaniemy marnować czas, tym lepiej. Elryk pewnie śmieje się teraz z naszej głupoty, siedząc w jakiejś tawernie setki kilometrów stąd, albo może nawet dogaduje się ze Smoczymi Książętami, by nas załatwić. Od lat planowaliśmy tę wyprawę, a mamy na nią bardzo mało czasu. Nasza flota jest zbyt wielka i nazbyt rzuca się w oczy. Nawet, jeśli Elryk nas nie zdradził, to szpiedzy wkrótce ruszą na wschód, by ostrzec kogo trzeba na Smoczej Wyspie, że nasza flota się zbiera. Gramy o wysoką stawkę. Albo uda nam się podbić największe miasto kupieckie świata i zdobyć niewiarygodne bogactwa, albo, jeśli nazbyt długo będziemy czekać, zginiemy okrutną śmiercią z rąk Smoczych Książąt. Pospieszmy się, zanim nasza zdobycz dowie się, co ją czeka i zbierze siły!

— Zawsze byłeś chorobliwie nieufny, Yarisie — powiedział powoli król Naclon z Vilmiru mierząc pogardliwie wzrokiem spiętego młodzieńca. — Bez Elryka nigdy nie dotrzemy do Imrryru. Tylko on zna labirynt kanałów prowadzących do tajemnych przystani. Jeśli Elryk się nie pojawi, wówczas wszystkie nasze wysiłki pozostaną bezowocne i skazane na porażkę. Potrzebujemy go i musimy czekać. Chyba że postanowimy porzucić nasze plany i po prostu wrócimy do domów.

— O nie, godzę się na ryzyko — krzyknął coraz bardziej wzburzony Yaris. — Też coś, do domów! Starzejecie się. Wszyscy. Skarbów nie zdobywa się strategią i planowaniem, ale szybkim i bezlitosnym atakiem.

— Głupi jesteś! — przetoczył się nad czerwoną od ognia salą głos Dharmita, a za nim rozbrzmiał zmęczony śmiech. — Tak samo gadałem, gdy byłem młody, zanim jeszcze straciłem świetną flotę. Tylko podstęp i wiedza Elryka mogą dać nam Imrryr. To i największa flota, jaka wypłynęła na Morze Szeptów od czasu, gdy sztandary Melniboné załopotaly nad wszystkimi krajami świata. Jesteśmy najpotężniejszymi władcami mórz, każdy z nas ma na swe rozkazy ponad sto szybkich okrętów. Nasze imiona są sławne i budzą strach, nasze floty nawiedzają wybrzeża dziesiątków pomniejszych narodów. Jesteśmy siłą! — Zacisnął potężną pięść i pomachał nią przed twarzą Yarisa. Uspokoił się zaraz i uśmiechnął się, spoglądając na młodzieńca. Teraz już starannie dobierał słowa. — Ale to wszystko to nic, marność wobec siły, którą rozporządza Elryk. Mam na myśli potęgę wiedzy, czarów, zaklęć. Jego ojciec przekazał mu sekret labiryntu, który strzeże Miasto Snów od morza, a przedtem sam otrzymał go od swoich przodków. I tak Imrryrka swoje sny w spokoju, i będzie tak, dopóki nie zdobędziemy przewodnika, który przeprowadzi nas przez tę sieć kanałów. Elryk jest nam niezbędny. Zarówno on jak i my zdajemy sobie z tego sprawę. Taka jest prawda!

— Miło mi słyszeć, jak wielkie okazujecie mi zaufanie, panowie — rozległ

się głos od wejścia do sali. Głowy wszystkich sześciu władców obróciły się ku drzwiom.

Cała pewność siebie Yarisa uleciała, gdy spojrzął na Elryka. Karmazynowe oczy Melnibonéanina były stare i jakby patrzące w wieczność, tkwiły jednak w przystojnej, młodzieńczej twarzy. Yaris wzdrygnął się i obrócił plecami do przybysza, woląc już wpatrywać się w płomienie.

Elryk uśmiechnął się ciepło, gdy hrabia Smiorgan ujął go za ramię. CM dawna łączyła ich szczególna przyjaźń. Albinos przywitał się z pozostałą czwórką i miękkim krokiem podszedł do ognia. Yaris odsunął się, by go przepuścić. Elryk był szeroki w barach i wąski w biodrach, białe włosy zebrane miał na karku w kitkę, z oczywistych zaś powodów nosił akurat strój barbarzyńców południa: wysokie do kolan buty ze skóry łąni, napierśnik z klepanego srebra, kaftan w biało-czarną kratkę, płócienne spodnie ze szkarłatnej wełny i rdzawo-zielony płaszcz. U pasa dźwigał runiczny miecz z czarnego żelaza, budzącego przerażenie Zwiastuna Burzy, niezwykle oręż o pradawnej i magicznej mocy.

Cały ten niegustowny i pstrokaty strój nie pasował ani do zmysłowego oblicza, ani do długopalcych, pozornie delikatnych dłoni, wyraźnie jednak zaznaczał fakt, iż nowo przybyły nie należy do kompanii — był tu kimś obcym, outsiderem. Podobny efekt osiągnąłby zresztą niezależnie od ubioru, same oczy i kolor skóry też by wystarczyły.

Elryk, ostatni władca Melniboné, albinos, czerpał swe siły ze źródeł strasznych innym śmiertelnikom.

— Dobrze, Elryku — westchnął Smiorgan. — Kiedy ruszamy na Imrryr?

— Kiedy tylko zechcesz — wzruszył ramionami Elryk. — Wszystko mi jedno, potrzebuję tylko odrobinę czasu, by dopilnować paru spraw.

— Jutro? Wypływamy jutro? — spytał z wahaniem Yaris, świadom prawdziwej potęgi człowieka, którego głośno oskarżył niedawno o oszustwo.

— Za trzy dni — uśmiechnął się książę, uspokajając młodzieńca. — Albo i więcej.

— Tak późno! Za trzy dni w Imrryrze będą dokładnie wiedzieli już, co się święci! — zauważył otyły Fedan.

— Dopilnuję, by nikt nie wypatrzył waszych flot — obiecał Elryk. — Najpierw sam muszę odwiedzić to miasto. Potem wrócę.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że od będziesz tę podróż w tak krótkim czasie. Nawet najszybszy statek... — zdumiał się Smiorgan

— Za niecały dzień będę już w Mieście Snów — powiedział spokojnie Elryk kończąc dyskusję.

Smiorgan wzruszył ramionami.

— Skoro tak mówisz, to daję wiarę, chociaż, czy to konieczne, tuż przed jazdem?

— Sam mam podobne wątpliwości, hrabio, ale nie powinieneś się niepokoić. Nie zdradzę was i poprowadzę wyprawę, tego możecie być pewni — powiedział albinos. Jego blada twarz nabrała w świetle płomieni tajemniczości, a w oczach zapaliły się ogniki. Jedną dłoń oparł na rękojeści miecza i zdawało się, że nieco ciężiej oddycha. — Duch Imrryru upadł pięćset lat temu, a niedługo i samo miasto upadnie, już na zawsze! Mam mały dług do spłacenia i to właśnie jest powód, dla którego was wspieram. Jak wiecie, postawiłem tylko parę warunków, w tym i taki, że zrównacie miasto z ziemią, ale dwie konkretne osoby mają pozostać nietknięte. Mam na myśli mojego kuzyna Yyrkoona i jego siostrę, Cymoril. . .

Yarisowi zaschło w ustach. Wiedział, że znaczną rolę w ukształtowaniu jego grubiańskiego charakteru miała wczesna śmierć ojca. Stary król umarł zostawiając młodego Yarisa jako władcę dziedzicznych ziem i dowódcę floty. Yaris nie był przekonany co do swoich umiejętności rządzenia tak rozległym królestwem, nadrabiał zatem arogancką miną.

— A jak ukryjemy flotę, księżę Elryku? — spytał teraz. Melnibonéanin przyjął pytanie.

— Ja to zaraz uczynię, upewnijcie się tylko najpierw, czy wszyscy wasi ludzie są już na pokładach. . . Zajmiesz się tym, Smiorganie?

— Tak — mruknął krępy hrabia.

Razem wyszli z sali, zostawiając piątkę mężczyzn, którym zdawało się, iż zawisła nad nimi lodowata groźba zagłady.

— Jak on może ukryć tak wielką flotę, jeśli my, którzy jak nikt inny znamy fiordy, nie potrafimy tego zrobić? — spytał gniewnie Dharmit z Jharkor.

Nikt mu nie odpowiedział.

Nerwowe oczekiwanie dłużyło się, ogień tymczasem migotał coraz słabiej, aż wygasł, nie podsycany. W końcu Smiorgan wrócił, głośno stawiając kroki na deskach podłogi. Na jego twarzy malowało się przerażenie, trząsł się cały niczym potencjalne zarzewie paniki, chwilami dostając jeszcze osobliwych drgawek. Oddychał z trudem, płytko wciągając powietrze.

— No i co? Ukrył Elryk flotę? Tak od razu i całą? Co właściwie zrobił? — zaczął dopytywać się niecierpliwie Dharmit ignorując dziwny stan, w jakim Smiorgan wrócił z przechadzki.

— Owszem. Ukrył — tyle tylko zdołał wykrztusić hrabia nieswoim głosem sugerującym, że mówi to człowiek chory, któremu właśnie zagraża atak gorączki.

Yaris podszedł do wyjścia i spojrzął ponad ogniskami rozbitych na stokach fiordu obozów, próbując dostrzec maszty i olinowania żaglowców, ale bez powodzenia.

— Mgła gęstnieje — mruknął. — Nie mam pojęcia, czy statki jeszcze tam kotwiczą. — Omal się nie zatchnął, gdy nagle z białego oparu wynurzyła się blada twarz. — Witam, lordzie Elryku — wyjąkał, zauważając, że oblicze księcia spływa potem.

Elryk minął go z wysiłkiem i wszedł do środka.

— Wina — wymamrotał. — Zrobiłem co trzeba, ale wiele mnie to kosztowało.

Dharmit sięgnął po dzban mocnego cadsandriańskiego wina i drżącą ręką nalał pełen drewniany puchar. Bez słowa podał naczynie Elrykowi, który szybko je opróżnił.

— Teraz idę spać — zapowiedział książę przeciągając się w fotelu i owijając w zielony płaszcz. Zamknął niepokojące karmazynowe oczy i zapadł w głęboki sen świadczący o skrajnym wyczerpaniu.

Fedan przemknął do drzwi, zamknął je i zaparł ciężką, żelazną sztabą.

Żaden z sześciu wodzów nie spał dobrze tej nocy, ale nad ranem ku ich zdumieniu okazało się, że fotel Elryka jest pusty, a drzwi otwarte. Gdy wyszli na zewnątrz, ujrzeni mgłę tak gęstą, że omal nie zgubili się nawzajem, chociaż żaden nie oddalił się na więcej niż metr.

Elryk stanął okrakiem nad kamieniem na wąskiej plaży i spojrzał do tyłu, na wylot fiordu, gdzie kłębiła się wciąż wzmagająca się mgła. Zalegała wprawdzie tylko nad samym fiordem, jednak skrywała doskonale całą wielką flotę. Wokół pogoda była wspaniała, blade jesienne słońce ogrzewało czarne skały stromego brzegu. Morze falowało przed nim monotonnie jak pierś oddychającego szarawego, morskiego olbrzyma. Elryk przesunął palcami po runach na rękojeści miecza, a uporczywy, północny wiatr rozwiął poły jego ciemnozielonego płaszcza owijając materię wokół szczupłej sylwetki.

Albinos czuł się o wiele lepiej niż wieczorem, kiedy to wiele sił kosztowało go napędzenie mgły. Był całkiem biegły w sztuce czarowania mocy przyrody, ale nie miał już takich zapasów energii, jakie cechowały dawnych cesarzy Melniboné w okresie, gdy władali całym światem. Jego przodkowie przekazali mu całą swą wiedzę, ale nie witalność, tym samym wiele zaklęć przekraczało zarówno duchowe jak i fizyczne siły Elryka. Niemniej pewnym było, że i tak jeden tylko człowiek może zmierzyć się z nim jak z równym — jego kuzyn Yyrkoon. Na myśl o uzurpatorze książę mocniej ścisnął miecz — Yyrkoon dwakroć zawiódł jego zaufanie. Pora była jednak zająć się chwilą obecną i wypowiedzieć zaklęcia mające pomóc albinosowi dotrzeć do Smoczej Wyspy, której jedyne miasto, Imrryr, było tak pożądanym celem wyprawy morskich wodzów.

Na piasku spoczywała drobna łódka, własność Elryka. Mimo niewielkich rozmiarów była niezawodna, o wiele mocniejsza i starsza, niżby można sądzić. Podczas odpływu morze zostawiło wokół niej całą masę wszelkiego śmiecia. Nadszedł czas, by użyć czarów.

Elryk włączył całą swą świadomość w celu sięgnięcia sekretów schowanych na samym dnie duszy. Melnibonéanin drżał, a jego oczy wpatrywały się niewidząco w pustkę. Dłonie mimowolnie kreśliły w powietrzu tajemne znaki, a z ust

dobywała się monotonna i niezrozumiała litania. Głos stawał się coraz wyższy, przechodząc niemal w zawodzenie zbliżającej się wichury, aż nagle wszedł na tak wysokie rejestry, iż niczym wycie wzniósł się pod niebiosa. Powietrze zawibrowało. Wokół Elryka pojawiło się kłębowisko niewyraźnych kształtów, sam książę zaś sztywno podszedł do łodzi.

Jego głos pozbawiony był cech ludzkich, gdy wyciem przyzywał poszczególne demony wiatru: odpowiedzialne za podmuchy sylphy, czyniące wicherę sharnahy i h'Haars-hanny od trąb powietrznych. Pojawiły się zaraz, dzikie i bezkształtne, wezwane z innych światów, gotowe przestrzegać paktu, który całe wieki temu zawarły z przodkami księcia.

Wciąż nienaturalnie sztywny, Elryk wszedł do łodzi i postawił żagiel. Nagle na spokojnym morzu pojawiła się wielka fala, która rosła coraz wyżej, aż zawisła nad maleńkim jednomasztowcem. Wówczas załamała się i uniosła łódź na grzbiecie wodnego wału, zabierając na otwarte morze. Elryk siedział przy sterze, a jego pieśń nie milkła, duchy powietrza zaś dęły w żagiel. Łódź mknęła szybciej niż jakakolwiek przez człowieka zbudowana jednostka. Nie trwało długo, a brzeg zniknął z oczu, a wkoło rozległ się ogłuszający i urągliwy krzyk uwolnionych mocy.

Rozdział 2

W ten sposób, z pomocą demonów wiatru, Elryk, potomek Królewskiej Linii Melniboné, powrócił do ostatniego już miasta rządzonego przez przedstawicieli jego rasy i zarazem jedyne miejsce, gdzie jeszcze spotkać można było arcydzieła melnibonéańskiej architektury. Nie minęło wiele godzin od opuszczenia fiordu, a nad horyzontem zarysowały się blad różowe i żółtawe wieże stolicy Smoczej Wyspy. Pierwiastki powietrza porzuciły wówczas łódź i zawróciły, by dalej uprawiać swoje tajemne pogonie pośród szczytów najwyższych gór świata. Elryk zaś ocknął się z transu i z zupełnie nowym zachwytem przyjrzał się widocznym aż z tak daleka wieżom, wciąż otoczonym nadmorskim, cyklopowym murem z pięcioma bramami i tylomaż labiryntami, z których tylko jeden prowadził, poprzez liczne, kręte i obmurowane kanały, do sekretnej zatoki Imrryru.

Elryk nie miał zamiaru ryzykować wplynięcia do labiryntu, chociaż znał drogę. Miast tego postanowił skorzystać z niewielkiego tajemnego wejścia, którego położony nieco na północ od bramy wyłot przesłonięty był płataniną krzewów obsypanych niebieskimi owocami zwanymi nadoil. Te silnie trujące jagody powodowały u człowieka najpierw ślepotę, a potem szaleństwo i nie rosły nigdzie poza Imrryrem, podobnie zresztą jak wiele innych, groźnych dla życia roślin.

Po niebie płynęły nisko i powoli pajęczne pasma chmur. Cały świat zdawał się otulony błękitem, złotem, zielenią i bielą. Elryk wyciągnął łódź na brzeg i odcchnął głęboko czystym, zimowym powietrzem, w którym unosił się jeszcze zapach zwiędłych liści i gnijących resztek jesieni. Gdzieś w pobliżu rozległo się poszczekiwanie przyzywającej partnera lisiczki i Elryk pożałował swej rasy, która od lat wolała spędzać ospałe dni wewnątrz murów miasta wyrzekając się całego piękna przyrody. To nie było już tak naprawdę miasto snów, to jego mieszkańcy pogrążyli się we śnie. Spoglądając wkoło księżę raz jeszcze pogratulował sobie wyboru, dzięki któremu uniknął przypisanego mu z urodzenia losu władcy miasta.

Miast niego Yyrkoon, jego kuzyn, rozpierał się teraz na Rubinowym Tronie pięknego Imrryru i całym sercem nienawidził Elryka. Wiedział bowiem, iż chociaż spadkobierca nie gustował ni we władzy, ni w piastowaniu wysokich stanowisk, to jednak nadal był prawowitym Królem Smoczej Wyspy, wobec które-

go Yyrkoon uchodzić mógł co najwyżej za uzurpatora. Ostatecznie Elryk nigdy oficjalnie nie osadził go na tronie, jak kazała tradycja Melniboné.

Elryk jednak miał zupełnie inne powody, by nie cierpieć Yyrkoona i było ich dość, by pragnąć nawet upadku stolicy, ostatniej enklawy dumnego niegdyś Imperium. Oczami duszy księżę widział już różowe, żółte, purpurowe i białe wieże obracające się w gruzy za sprawą wprowadzonych podstępem do miasta morskich wodzów.

Ochrowe słońce zapadło za horyzont ustępując bezksiężycowej, niepokojąco mrocznej nocy, a Elryk, kilometr za kilometrem, maszerował po rozmiękłym gruncie w stronę zabudowań.

W końcu dotarł do ciemnego zarysu metropolii. Było to najstarsze miasto świata, wspaniałe tak architektoniczną koncepcją jak i wykonaniem, dzieło mistrzów uznawane często za dzieło sztuki raczej niż zwykłe miejsce zamieszkania. Elryk wiedział jednak, że w wielu bocznych uliczkach już dawno zagnieździła się nędza, a władcy miasta woleli niejedną wieżę pozostawić pustą i nie zamieszkaną, niż oddać ją za siedzibę pospólstwu. Zresztą niewielu już zostało prawdziwych Smoczycy Władców, w których żyłach płynęła pradawna melnibonéańska krew.

Miasto zaplanowane w taki sposób, by wykorzystać ukształtowanie terenu, wyglądało jak żywy organizm z krętymi arteriami dróg prowadzących spiralami na wzgórze, na którym stał wysoki i dumny zamek zwieńczony wieloma wieżycami, dziełami dawno zapomnianego artysty. Miasto spało i był to sen ciężki, przygnębiający i pełen milczenia. Władcy i ich niewolnicy błądzili w narkotycznych marzeniach o minionej chwale i złani potem przeżywali upiorne sny, podczas gdy reszta mieszkańców, posłuszna przepisom pory gaszenia świateł, obracała się z boku na bok na twardych materacach, usiłując w ogóle nie mieć żadnych snów.

Trzymając dłoń w pobliżu miecza, Elryk wemknął się do miasta jedną z nie strzeżonych bram i ciemnymi ulicami ostrożnie skierował się ku wielkiemu pałacowi Yyrkoona.

Wiatr przewiewał puste komnaty smoczycy wież. Czasem Elryk musiał wycofywać się w głęboki cień, gdy mijał go patrol straży pilnującej przestrzegania zakazu palenia ognia po nocy. Często docierał do jego uszu obłąkany śmiech płynący echem z któregoś z wciąż jasnych okien jakiejś wieży, kiedy indziej rozlegał się mrozący krew w żyłach krzyk i chichot idioty, w mękach umierającego dla przyjemności swego pana.

Wszystkie te odgłosy nie robiły na Elryku wrażenia. Znał je dobrze. Ostatecznie wciąż był Melnibonéaninem, prawowitym władcą mającym prawo sięgnąć po swe dziedzictwo. Owszem, wybrał wędrowkę i zagustował w mniej wysublimowanych rozrywkach niż te tutaj, ale był spadkobiercą trwającej dziesięć tysięcy lat okrutnej, wspaniałej i przesiąkniętej złością kultury, był Melnibonéaninem z krwi

i kości.

Elryk zastukał niecierpliwie do ciężkich drzwi z czarnego drewna. Dotarł już do pałacu i czekał teraz u bocznego wejścia rozglądając się ostrożnie wokoło. Dobrze wiedział, iż Yyrkoon wyraźnie nakazał strażnikom zabić go, jeśli tylko pojawi się w Imrryrze.

Zamek zazgrzytał i podwoje uchyliły się do wewnątrz, a w szparze pojawiła się szczupła, poznaczona bliznami twarz.

— Czy jesteś królem? — wyszeptał mężczyzna, usiłując dojrzeć coś w ciemnościach nocy. Był wysoki, chorobliwie chudy. Niezgrabnie podszedł bliżej wbijając w Elryka małe oczy.

— Jestem księciem Elrykiem — odparł albinos. — Zapomniałeś jednak, Tanglebonesie, mój przyjacielu, że na Rubinowym Tronie zasiada już nowy król.

Tanglebones potrząsnął głową, aż rzadkie włosy opadły mu na twarz. Z wysiłkiem odsunął się na bok, przepuszczając Elryka do środka.

— Smocza Wyspa ma tylko jednego króla, a jego imię brzmi Elryk i żaden uzurpator tego nie zmieni.

Księżę puścił uwagę mimo uszu, uśmiechnął się lekko i poczekał, aż mężczyzna zamknie i zablokuje za nim drzwi.

— Ona wciąż śpi, sir — mruknął Tanglebones, prowadząc swego pana po schodach.

— Tak myślałem. Niebezpiecznie byłoby nie doceniać magicznych umiejętności mego kuzyna.

Wspinali się w milczeniu, aż doszli do korytarza rozjaśnionego migotliwym blaskiem pochodni. Światło odbijające się w marmurowych ścianach ujawniło, iż interesujące ich pomieszczenie było strzeżone. Przyczajeni za filarem przyrzekli się roslemu łucznikowi, prawdopodobnie eunuchowi. Mężczyzna był tłusty i bezwłosy, w ciasno dopasowanej błękitno-czarnej zbroi. Wyraźnie czymś zaniepokojony, zacisnął palce na cięciwie krótkiego, kościanego łuku z gotową do wystrzelenia, smukłą strzałą. Elryk domyślił się, że człowiek ten należy do gromady kastratów tworzących Milczącą Gwardię, najlepszy oddział wojowników w Imrryrze.

Tanglebones, który w młodości uczył Elryka fechtunku i strzelania z łuku, był uprzedzony o obecności strażnika i przygotował co należy. Za filarem stał oparty łuk, z którego należało zrobić teraz użytek. Po cichu wziął go w dłonie, nałożył strzałę i wycelował ją w prawe oko strażnika, a gdy tylko ten obrócił się w ich kierunku — wystrzelił. Pocisk chybił, zagrzechotał o naszyjnik zbroi i spadł na wysłaną trzcina podłogę nie czyniąc gwardziście żadnej szkody.

Nie czekając, Elryk rzucił się naprzód z mieczem. Oręż jęknął łakomie, łamiąc wpół kościany łuk, którym eunuch miał nadzieję osłonić się przed ciosem.

Strażnik dyszał ciężko, przerażony, rozchylił wargi do krzyku ukazując puste usta. Kastrat pozbawiony był języka. Wydobytym pospiesznie krótkim mieczem zdołał odparować następne cięcie Elryka. Żelazo skrzeszło iskry, a strażnik zachwiał się i upadł przed czarnym ostrzem, które zdawało się żyć własnym życiem. Szczęk metalu rozległ się głośnym echem w całym pomieszczeniu i Elryk zaklął zły, iż nie udało się załatwić sprawy po cichu. Szybkim ruchem przemknął obok eunucha.

Strażnik ledwie widział mroczny zarys swego przeciwnika, bowiem całe pole widzenia wypełniał mu czarny, zwinny miecz, który nie dość że był dwa razy dłuższy od jego broni, to jeszcze pulsował upiornym blaskiem. Wydało mu się przez chwilę, że rozpoznaje twarz napastnika, zaraz jednak czerwona kurtyna przesłoniła mu oczy. Potem przyszedł ból, a następnie świadomość, że śmierć jest bliska. To ostatnie strażnik przyjął spokojnie, z właściwym eunuchom fatalizmem.

Elryk stanął nad zakrwawionym ciałem kastrata, wyciągnął miecz z rozłupanej czaszki i wytarł go o płaszcz pokonanego przeciwnika. Tanglebones miał dość oleju w głowie, by zniknąć na czas. Słychać było, jak biegnie gdzieś schodami w górę. Elryk pchnął drzwi i wszedł do komnaty oświetlonej jedynie dwiema małymi świeczkami ustawionymi w końcach szerokiego, bogato zaścienionego łóża. Podszedł bliżej i spojrzał na uśpioną, kruczowłosą dziewczynę.

Usta wykrzywił mu grymas, a oczy wypełniły się łzami. Roztrzęsiony schował miecz i wrócił do drzwi, by je zaryglować. Uklęknął potem przy łóżu. Rysy dziewczyny były delikatne, pokrewne rysom Elryka, jemu jednak brakowało jej piękna. Oddychała płytko, jako że sen nie był naturalny, ale nadszedł za sprawą złych czarów brata.

Elryk ujął ostrożnie jedną ze smukłych dłoni. Uniósł ją do warg i ucałował.

— Cymoril — wyszeptał imię tej, do której tak długo tęsknił. — Cymoril. Obudź się.

Dziewczyna nie drgnęła, jej oddech pozostał niezmiennie płytki, a oczy zamknięte. Elryka zaczął ogarniać niepohamowany gniew, w czerwonych oczach pojawiły się iskry. Ścisnął dłoń tak bezwładną i nieczułą, jakby była martwa. Po chwili jednak pomiarkował się, by nie zrobić śpiącej krzywdy.

Jakiś żołnierz zaczął z krzykiem dobijać się do drzwi.

Elryk ułożył dłoń dziewczyny na jej piersi i wstał. Spojrzał nieprzytomnie na drzwi.

Jakiś ostrzejszy, zimny głos przerwał nawoływania żołnierza.

— Cóż się stało? Czyżby ktoś zapragnął odwiedzić moją nieszczęsną, śpiącą siostrę?

— Yyrkoon, ty czarna zarazo — mruknął Elryk pod nosem.

Słychać było, jak żołnierz usiłował tłumaczyć coś niezdarnie, ale Yyrkoon znów mu przerwał.

— Ktokolwiek tam jest, umrzesz po tysiackroć, gdy cię złapiemy. Nie uciekiesz. Jeśli skrzywdzisz moją kochaną siostrę, wówczas nigdy nie umrzesz, obiecuję ci to. Będziesz modlił się do swych bogów o rychłą śmierć!

— Nie próbuj grozić komuś, kto równy jest tobie w magii, Yyrkoonie. Poznasz mnie, łajdaku? To ja, Elryk, twój prawowity władca. Wracaj do swej nory, bo inaczej wezwę wszystkie siły nieba, ziemi i piekła, by zetrzeć na proch ostatni twój ślad!

Yyrkoon roześmiał się, ale niezbyt pewnie.

— Wróciłeś zatem, by obudzić swoją ukochaną. Każda taka próba zabije ją i ześle jej duszę do najgłębszych piekielnych czeluści, gdzie zresztą rychło będziesz mógł się z nią połączyć!

— Na sześć piersi Arnary, to tobie przyjdzie umrzeć po tysiackroć.

— Dość tego — stwierdził głośno Yyrkoon. — Wyłamać drzwi i pojmać żywcem zdrajcę — polecił żołnierzom. — Elryku, dwie są rzeczy, których nigdy nie odzyskas. Jedna, to miłość mojej siostry, a druga, to Rubinowy Tron. Wykorzystaj jak chcesz tę odrobinę czasu, który ci został. Już niedługo będziesz błagał mnie, bym dobił cię, a nie torturował!

Elryk zignorował groźby Yyrkoona i spojrzał na okno, które mimo niewielkich rozmiarów było jednak dość szerokie, by zdołał się przez nie przecisnąć mężczyzna. Schylił się i pocałował Cymoril w usta, potem podszedł do drzwi i odblokował je po cichu.

Żołnierz z wielkim hukiem wyrzwał w odrzwia, które otwały się natychmiast, zbrojny zaś stracił równowagę i padł na twarz. Elryk wyciągnął miecz i ciął wojownika w kark. Głowa potoczyła się, a księżę krzyknął głosem głębokim i donośnym:

— Ariochu! Ofiaruję ci krew i dusze, pomóż mi tylko! Niech ofiara z tego tutaj człowieka, potężny Królu Piekieł, wesprze twego sługę, Elryka z Melniboné!

Następni trzej żołnierze wbiegli gromadą do komnaty. Pierwszemu z nich Elryk odrąbał połowę twarzy. Mężczyzna krzyknął w wielkim bólu.

— Ariochu, Władco Ciemności, ofiaruję ci krew i dusze. Wesprzyj mnie swym złem!

W odległym kącie komnaty z wolna zaczęła się zbierać czarna mgła. Jednak coraz liczniejsi żołnierze nacierali i bardzo trudno było stawiać im wszystkim opór.

Spychany wciąż dalej, Elryk wykrzykiwał nieprzytomnie imię Ariocha. Powtarzał je nieustannie. Yyrkoon krzywił się zły i poganiał swoich ludzi, upominając ich, by brali przeciwnika żywcem. To, jak i czarny miecz, którego skrzekliwe zawroźdzenie rozdzierało uszy napastników, dawało Elrykowi niejakię szansę. Dwa następne ciała padły na dywany, barwiąc je posoką na czerwono.

— Krew i dusze dla mego pana, Ariocha!

Czarna mgła zaczęła ostatnią część metamorfozy. Elryk wolał nie spoglądać w kąta na diabelskie dzieło, które rodziło się właśnie za plecami żołnierzy przyciskających Elryka coraz bliżej okna. Amorficzna masa, która była niezbyt miłą dla oka manifestacją patronującego Elrykowi boga, powodowała u księcia coraz silniejsze mdłości. Pchnął żołnierzy w kierunku zmaterializowanego teraz potwora, który w każdych okolicznościach przyprowadzić mógł o szaleństwo.

Zbrojni wyczuli nagle czyjaś obecność za swoimi plecami. Obrócili się i zdążyli jeszcze krzyknąć, nim pochłonęła ich ciemność. Ariocho wysłał najpierw ich dusze, potem pogruchotał kości, aż niczym szmaciane lalki padli na podłogę. Wciąż jednak żyli. Elryk odwrócił oczy dziękując w duchu losowi, że Cymoril śpi i nie widzi tej jatki. Spojrzał za okno i stwierdził z przerażeniem, iż nie zdoła przez nie uciec. Od ziemi dzieliło go jakieś dwieście metrów. Skoczył do drzwi, gdzie przerażony Yyrkoon zaklęciami usiłował odesłać Ariocho. Czarna mgła bleła już z wolna.

Elryk przepchnął się obok kuzyna, rzucił pożegnalne spojrzenie na Cymoril i rozchlapując kałuże krwi pobiegł tą samą drogą, którą przyszedł. Tanglebones czekał na niego u szczytu mrocznych schodów.

— Co tam się stało, królu?

Elryk ujął Tanglebonesa za szczupłe ramię i skierował go ku schodom.

— Nie ma czasu — wydyszał. — Pospieszmy się. Potrwa jeszcze chwilę, nim Yyrkoon upora się z Ariochem. Za pięć dni zakończy się historia Imrryru. Chcę, byś zadbał o Cymoril. Rozumiesz?

— Tak, panie, ale...

Dotarli do drzwi. Tynglabones odblokował je i otworzył.

— Nie czas na wyjaśnienia. Muszę uciekać. Wrócę za pięć dni. Nie będę sam. Gdy przyjdzie pora, sam zrozumiesz, o co mi chodzi. Weź Cymoril do Wieży D'a'rputna i czekajcie tam na mnie.

Zaraz też zniknął, odbiegając miękko w noc, ścigany jedynie przez długo jeszcze nie milknące krzyki umierających.

Rozdział 3

Elryk stał na dziobie flagowego statku hrabiego Smiorgana. Od czasu powrotu do fiordu i szybkiego wypłynięcia floty na otwarte morze, nie odzywał się prawie, poza wydawaniem zwięzłych rozkazów. Morscy wodzowie przebąkiwali coś na temat wielkiej nienawiści, którą najwidoczniej chowa w sercu, przez co jest niebezpieczny zarówno dla wrogów jak i dla towarzyszy. Nawet hrabia Smiorgan wolał go teraz unikać.

Ciężkie jednostki kierowały się na wschód po morzu aż czarnym od mniejszych okrętów pomykających we wszystkie strony. Potężne żaglowce wyglądały jak cienie wielkich ptaków szybujących tuż nad wodą. Flota liczyła prawie tysiąc statków, wszystkie podobne, długie i smukłe, budowane raczej z myślą o prędkości, niż o przydatności do walki, jako że normalnie używano ich do szybkich napadów na nadbrzeżne osady lub do handlu. Promienie słoneczne przebijały się przez żagle tworząc różnokolorową poświatę. Wszystkie statki miały po szesnastu lub więcej wioślarzy, a każdy z tychże był również wojownikiem, podobnie jak członkowie załóg, które miały przyłączyć się do ataku. W narodach morza brakowało ostatnio dobrych ludzi do walki, bowiem aż nazbyt wielu ginęło ich co roku w regularnych najazdach.

Pośrodku floty płynęły największe jednostki. Na pokładach niosły one katalpuly mające zdruzgotać nadbrzeżny mur Imrryru. Hrabia Smiorgan, podobnie jak pozostali, patrzył na nie z dumą, Elryk jednak ledwie zaszczycił je swoją uwagą, cały czas wpatrzony w jakiś odległy punkt, odmawiający sobie snu, tkwiący niemal w bezruchu. Dłoń opierał wciąż na rękojeści miecza i nie zważał nawet na wiatr i słoną pianę chłostające jego twarz.

Powoli zbliżali się do Smoczej Wyspy. Coraz też bliżej były fantastyczne bogactwa — lub okrutna zguba. Płynęli jednak, gnani przeznaczeniem, równo zanurzając wiosła i łapiąc dogodny wiatr w żagle.

Podążali do pięknego Imrryru, by złupić i zniszczyć to najstarsze miasto świata.

Dwa dni minęły, aż na horyzoncie pojawił się zarys brzegów Smoczej Wyspy. Wiosła zostały złożone, a silne ręce sięgnęły po broń gotując się do tego, co

większość ludzi na świecie uznawała za niemożliwe.

Z pokładu na pokład popłynęły rozkazy przyjęcia szyku bojowego. Zwinięto żagle, wiosła znów się poruszyły i okręty, skrzypiąc ponuro, ponownie ruszyły naprzód.

Dzień był pogodny i chłodny. Ani morscy wodzowie, ani ich ludzie nie potrafili ukryć podniecenia. Wszyscy myśleli o tym, co przyniesie im najbliższa przyszłość. Wężowe dzioby nakierowały się na wielką, kamienną osłonę zagrażającą pierwsze wejście do zatoki. Mur miał niemal trzydzieści metrów wysokości i zwieńczony był wieżami o wiele lepiej przystosowanymi do walki niż widniejące w oddali wieżycy miasta. Jedynie statkom Imrryru wolno było przepływać przez otwierającą się pośrodku bramę i tylko one miały prawo przedostać się przez labirynt, którego sekretu pilnie strzeżono przed obcymi.

Wysoko na murze strażnicy gorączkowo rozbiegali się na stanowiska. Groźbę najazdu uważali zawsze za nierealną mrzonkę, a jednak atak nastąpił — oto największa flota, jaką kiedykolwiek widzieli, ruszyła na ich miasto! Zajmowali posterunki szeleszcząc złotymi płaszczami, szczękając brązowymi zbrojami, czuli się jednak zagubieni, do końca jakby nie chcieli uwierzyć własnym oczom. Przyjmowali zdarzenie z osobliwym fatalizmem dyktowanym świadomością, że nawet jeśli żaden ze statków nie pokona labiryntu, to oni i tak już nigdy nie ujrzą kłęski napastników.

Dyvim Tarkan, Dowódca Muru, był człowiekiem wrażliwym, kochającym życie i jego przyjemności. Był przystojny, o wysokim czole, z niewielką bródką i równie subtelnym wąsikiem. Dobrze wyglądał w brązowej zbroi i hełmie z piórami. Przede wszystkim zaś nie chciał umierać. Wydał swoim ludziom zwięzłe rozkazy, a oni wykonali je dokładnie i posłusznie. Wsłuchany w dochodzące z odległych jeszcze statków krzyki, zastanawiał się, jakie będzie pierwsze posunięcie rozbójników. Nie musiał długo czekać na odpowiedź.

Katapulta na jednym z okrętów wyrzuciła z furkotem wielki odłam skalny, który z niespodziewanym wdziękiem poszybował w kierunku muru. Strzał był za krótki i tylko bryzgi piany dosięgły kamiennych umocnień.

Przełykając ciężko ślinę i usiłując opanować drżący głos, Dyvim Tarkan rozkazał uruchomić własną katapultę. Lina została przecięta i żelazna kula wystrzeliła ku flocie napastników. Statki stłoczone były tak ciasno, że pocisk musiał w coś trafić — ugodził w pokład flagowej jednostki Dharmita z Jharkoru rozłupując deski. Rozległy się jęki tonących i okaleczonych. W ciągu paru chwil okręt zatonął, a Dharmit razem z nim. Część rozbiteków przyjęto na pokłady innych jednostek, ale rannych pozostawiono na łaskę losu.

Katapulta najeźdźców wyrzuciła kolejny pocisk, tym razem trafiając w wieżę pełną łuczników. Kamienie i zaprawa eksplodowały, a ci, którzy przeżyli, spadli z rozdzierającym krzykiem w kipiel u podstawy muru. Rozwścieczeni śmiercią towarzyszy łucznicy Imrryru zasypali statki smukłymi strzałami, które w więk-

szości dosięgły celów. Zaraz jednak i ze statków sypnęły się strzały i nie trwało długo, a na murze została tylko garstka obrońców. Po chwili kolejny pocisk zdruzgotał lądową katapultę wraz ze sporym kawałkiem pobliskiej ściany.

Dyvim Tarkan ocalał, chociaż różową tunikę miał splamioną krwią, a z lewego ramienia sterczały mu drzewce strzały. Żył jeszcze, gdy pierwszy taran dziobowy zbliżył się do bramy i wyłamał ją jednym uderzeniem. Po chwili nadpłynął następny. Oba wpłynęły do środka. Po raz pierwszy w historii obcy statek pokonał przejście. Może właśnie ten nieprawdopodobny widok sprawił, że stojący na skraju muru Dyvim Tarkan stracił oparcie dla stóp i z krzykiem runął w dół, lądując na pokładzie flagowego statku hrabiego Smiorgana i łamiąc sobie przy tym kark.

Droga stała już otworem i teraz do Elryka należało przeprowadzenie floty przez labirynt. Przed nimi ciemniało pięć jednakowo wysokich wylotów kanałów. Elryk wskazał na trzeci od lewej i wiosłarze szybkimi uderzeniami skierowali statek w mroczną czeluść. Przez kilka minut płynęli zupełnie na oślep.

— Pochodnie! — krzyknął Elryk. — Zapalcie pochodnie!

Smolne szczapy były już gotowe, zaraz też zapłonęły. Byli w szerokim i krętym tunelu wykutym w litej skale.

— Trzymajcie się blisko — rozkazał albinos, a jego głos wrócił setkami ech. Twarz księcia w świetle pochodni wyglądała jak maska, cienie wyostrzały jego rysy. Płynące za nimi statki zapalały światła, a ich załogi poszeptywały w nabożnym lęku. Elryk był niespokojny, a oczy lśniły mu jak w gorączy.

Wiosła podnosiły się i opadały monotonicznie, tunel zaś rozszerzał się i w polu widzenia pojawiły się wyloty następnych kanałów.

— Środkowy — wskazał księżę.

Sternik na rufie skinął głową i poprowadził statek zgodnie z rozkazem. Poza sporadycznymi szeptami i pluskiem wioseł w jaskiniach panowała grobowa cisza.

Elryk spojrział na zimną, czarną wodę i zadrżał.

W końcu wydostali się na światło dzienne. Wiosłarze popatrzyli w górę, na wysoki mur okalający kanał. Na blankach roili się wojownicy w żółtych płaszczach i ledwie okręt hrabiego Smiorgana wysunął się z tunelu, zaraz został zasypany strzałami.

— Szybciej! — ponaglił Elryk. — Wiosłujcie szybciej, tylko to może nas uratować!

Wiosłarze dobyli wszystkich sił i statek zaczął nabierać prędkości, pomimo iż strzały obrońców zbierały na pokładzie obfite żniwo. Kanał biegł prosto i widać już było nadbrzeże Imrryru.

— Szybciej! Szybciej! Widać już cel!

Statek wydostał się nagle z kanału na spokojne wody zatoki i zatrzymał się, by poczekać na płynące z tyłu posiłki. Na nadbrzeżu czekały już oddziały wojska. Gdy siły napastników urosły do dwudziestu jednostek, Elryk wydał rozkaz ataku na molo. Zwiastun Burzy tkwiący w pochwie zawył potakująco. Okręt flagowy

dobił twardo do mola lewą burtą. Znów został zasypany strzałami, które jednak omijały, jak dotąd, Elryka prowadzącego już oddział do ataku. Topornicy Imrryru zbili się w gromadę, by odeprzeć napaść, ale widać było, iż niewielki jest ich duch walki. Również i oni byli nazbyt zaskoczeni przebiegiem zdarzeń.

Zwiastun Burzy ciął jednego z toporników w gardło, tym samym pozbawiając go głowy. Pohukujący demonicznie miecz, który znów skosztował krwi, zaczął wiercić się w dłoni Elryka, jakby sam poszukiwał ciała, w które mógłby się wbić. Na bladych wargach albinosa wykwitł krzywy uśmiech, a oczy zwięzły się w szparki, gdy ruszył, by zabijać bez wyboru.

Pierwotnie chciał zostawić walkę innym, ostatecznie po to przyprowadził ich do Imrryru, sam miał przecież co innego do zrobienia, i musiał się z tym spieszyć. Spoza tłumu zbrojnych widać było piękne i subtelne wieżyce miasta migoczące koralowym różem, jasnym błękitem, złotem, bielą, stonowaną zielenią. Celem Elryka była właśnie jedna z nich, Wieża D'a'rputna, do której Tanglebones miał zabrać Cymoril. W ogólnym zamieszaniu, które właśnie się rozpętywało, nie powinno to być takie trudne.

Elryk wyrąbywał sobie krwawą ścieżkę w tłumie. Ktokolwiek próbował go zatrzymać, ginął z krzykiem przerażenia w chwili, gdy czarny miecz wypijał jego duszę.

W końcu księżę zostawił walczących następnym zastępom rabusiów, którzy już wlewali się na molo, sam zaś pobiegł krętymi uliczkami zabijając wszystkich, którzy stanęli mu na drodze. Niczym umazana krwią, bladolica zjawa w splamionych posoką szatach i w poobijanym pancerzu nie ustawał w biegu po brukowanych uliczkach, aż dotarł do smukłej wieży w barwie błękitu i ciepłego złota, Wieży D'a'rputna. Jej drzwi były otwarte, co sugerowało, że ktoś jest w środku. Elryk wpadł do okrągłej sali u podstaw wieży. Nie dojrzał nikogo.

— Tanglebones! — krzyknął głośno. — Jesteś tam? — Wielkimi susami pobiegł schodami, wciąż wołając sługę po imieniu. Na trzecim piętrze zatrzymał się gwałtownie, słysząc słaby jęk dochodzący z jednej z komnat. — To ty, Tanglebonesie? — Wszedł do środka i zmroził go widok starego człowieka leżącego na podłodze i bezskutecznie usiłującego zatrzymać krew płynącą z wielkiej rany w boku.

— Co się stało? Gdzie jest Cymoril?

Starca twarz Tanglebonesa wykrzywiła się w bólu i żalu.

— Ona... przyniosłem ją tutaj, jak kazałeś, panie. Ale... — zakaszła krwią, — ale... Księżę Yyrkoon... on... on... znalazł nas... musiał mnie śledzić. Zranił mnie i wziął Cymoril... powiedział, że będzie bezpieczniejsza... w Wieży B'aal'nezbett. Przykro mi, panie...

— Mam nadzieję, że jest ci przykro — powiedział Elryk ze złością, ale zaraz się opamiętał. — Spokojnie, przyjacielu. Pomszczę i ciebie, i siebie. Na szczęście wiem, gdzie Yyrkoon ją zabrał. Dzięki, że próbowałeś, Tanglebonesie. Niech

twoja długa podróż ostatnią rzeką pełną będzie spokoju. . .

Zerwał się na nogi i wybiegł z komnaty, szybko pokonał schody i znalazł się z powrotem na ulicy.

Wieża B'aal'nezbett była najwyższa w Pałacu Królewskim. Elryk znał ją dobrze, jako że tam właśnie jego przodkowie zwykli zgłębiać wiedzę tajemną i przeprowadzać budzące grozę eksperymenty. Zadrżał na myśl, czego to Yyrkoon może dopuścić się wobec swojej siostry.

Ulice miasta były dziwnie ciche, jakby wymarłe, ale Elryk nie miał czasu zastanawiać się nad tym fenomenem. Pobiegł ku pałacowi, którego brama i wejście stały otworem pozbawione straży. To też było niezwykle, ale sprzyjało księciu, który szybko rozpoczął wspinaczkę znajomymi schodami.

Dotarł do pozbawionych zamka czy klamki drzwi z czarnego kryształu. Gorączkowo uderzył w nie mieczem, ale kryształ miękko ugiął się i zaraz przyjął poprzednią formę. Cios nie zostawił żadnego śladu.

Elryk spróbował przypomnieć sobie obcojęzyczne słowo, które zwykle otwierało drzwi. Nie mógł wprowadzać się teraz w trans, który z pewnością wydobyłby z pamięci zaklęcie, pozostało mu zatem jedynie ostrożne sondowanie granic podświadomości. To też było ryzykowne, ale nie miał już wyboru. Twarz wykrzywiła mu się, myśli splątały, ale słowo było coraz bliżej, struny głosowe napięły się, pierś wezbrała oddechem.

Wykaszał zaklęcie i cały umysł zapłonął bólem.

— Rozkazuję wam: stańcie otworem! — dodał jeszcze. Zdawał sobie sprawę, że kiedy już drzwi się otworzą, jego kuzyn szybko domyśli się, kto jest inicjatorem najazdu, w tej kwestii jednak Elryk także nie miał wyboru. Kryształ rozpękł się, zapulsował, zasyczał i zamienił się w nicość, znikając w innych, niż fizyczne, wymiarach. Albinos odetchnął z ulgą i przekroczył próg. W powodzi zimnego i płaczącego myśli ognia brnął po stopniach ku centralnej komnacie. Wkoło popłakiwała jękliwa muzyka hucząca mu echem pod czaszką.

W górze czekał na niego złośliwie uśmiechnięty Yyrkoon. W dłoni ścisnął runiczny miecz bliźniaczo podobny do Zwiastuna Burzy.

— Diabelskie nasienie! — rzucił Elryk. — Widzę, że odnalazłeś Żałobne Ostrze. Dobrze, jeśli starczy ci odwagi, to możemy wypróbować jak brat uderzy na brata. Przybyłem zabić cię, kuzynie.

Zwiastun Burzy westchnął zagłuszając towarzyszącą nieziemskim płomieniom muzykę. Elryk ledwie panował nad coraz bardziej ruchliwym mieczem. Z wysiłkiem pokonał kilka ostatnich stopni i zamachnął się na Yyrkoona. Obu walczących otoczyła bulgocząca, ciemnozielona lawa i ściany mglistego ognia. Zupełnie jakby opuściwszy Ziemię stanęli do ostatecznej walki. Lawa rozlewała się coraz szerzej, tłumiąc płomienie.

Ostrza spotkały się z ogłuszającym hukiem. Albinos poczuł, jak ramię mu drętwieje i nagle nie był już panem samego siebie. Miecz, który teraz wyraźnie prze-

jął inicjatywę, miotał Elrykiem niczym kukiełką. Minawszy bratni oręż, Zwiastun Burzy dosięgnął Yyrkoona i zaciął go głęboko w lewe ramię. Ten jęknął, a oczy zapłonęły mu bólem, ale zaraz Żalobne Ostrze zranił Elryka w to samo miejsce. Książę syknął. Po sekundzie Yyrkoon otrzymał cios w prawy bok. Uderzenie to było dość silne, by zabić normalnego człowieka, ale uzurpator tylko roześmiał się niczym demon z najpodlejszych głębin piekieł. Elryk mógł liczyć teraz na przewagę, jako że jego przeciwnik okazał wreszcie swoje prawdziwe, całkowicie szalone oblicze. Czary jednak nadal działały i książę poczuł, jakby jakiś gigant złapał go w swoje objęcia i ścisnął. Krew tryskała z rany Yyrkoona, dosięgając nawet Elryka. Lawa zaczęła znikać i z wolna dało się dostrzec wejście do centralnej komnaty, w którym stała obudzona i ciężko przerażona Cymoril.

Miecz zakreślił czarny łuk uderzając w oręż Yyrkoona i przełamując jego obronę.

— Elryku! — krzyknęła rozpaczliwie Cymoril. — Ratuj mnie, ratuj, bo inaczej oboje zgubieni będziemy na całą wieczność!

Elryka zdumiały słowa dziewczyny, nie potrafił odnaleźć w nich sensu. Z pasją natarł na Yyrkoona, zmuszając go do cofnięcia się w stronę komnaty.

— Elryku, odłóż Zwiastuna Burzy. Schowaj go, bo inaczej znów nas rozdzieli.

Gdyby nawet Elryk miał pełną kontrolę nad mieczem, nie odrzuciłby go. Dał się ponieść nienawiści i nade wszystko pragnął zatopić ostrze w sercu kuzyna.

Cymoril płakała, wciąż błagając Elryka, ale ten był bezsilny. Oszałała, ogłupiała istota, która niegdyś była Yyrkoonem, spojrzała szyderczo na łkającą Cymoril i zachichotała, chwytając dziewczynę za ramię. Ta usiłowała uciec, ale Yyrkoon był wciąż silny. Korzystając z okazji, Elryk ciął przeciwnika w pasie, niemal oddzielając tułów od bioder.

W nieprawdopodobny sposób Yyrkoon żył jeszcze, czerpiąc siły z wciąż odpierającego ataki miecza. Gwałtownym ruchem pchnął Cymoril prosto na czubek Zwiastuna Burzy.

Szaleniec roześmiał się, zakaszłał, a jego mroczna dusza opuściła wreszcie ciało i runęła prosto w otchłanie piekieł.

Wieża stała jak przedtem, tylko lawa i ogień zniknęły. Elryk zastygł w bezruchu niezdolny pozbierać myśli. Spojrzał na martwe ciała brata i siostry. Po raz pierwszy dostrzegł w nich po prostu mężczyznę i kobietę.

Upiorna prawda docierała do niego bardzo powoli, wraz z czysto zwierzęcym żalem. Zabił dziewczynę, którą kochał. Splamiony krwią Cymoril miecz wypadł mu z dłoni i zagrzechotał po stopniach. Płacząc, Elryk opadł na kolana obok ciała ukochanej i wziął ją w ramiona.

— Cymoril — jęczał roztrzęsiony. — Cymoril... zabiłem cię.

Rozdział 4

Elryk obejrzał się na rozpadające się w gruzy, pełne zgiełku płonące Imrryr i pogonił wioślarzy do jeszcze większego wysiłku. Uderzony przez przeciwny wiatr statek zakołysał się i książę musiał mocno chwycić się nadburcia, by nie zostać zrzuconym do wody. Obejrzał się raz jeszcze i poczuł, jak coś ściska go w gardle — oto stawał się kimś pozbawionym ojczyzny, renegatem i, choć wbrew swej woli, zabójcą; za sprawą ślepej żądzy zemsty stracił ukochaną. Dla Elryka wszelka historia dobiegała kresu. Na nic już nie mógł liczyć w przyszłości, jako że ta miała dlań związek z minionym, a minione obracało się właśnie w popiół. Zapłakał bez łez, a dłonie kurczowo zacisnął na relingu.

Niechętnie wracał myślami do Cymoril. Zaniósł jej ciało na postanie i podłożył ogień pod wieżę. Potem wrócił do miasta spotykając rozradowanych rabusiów wycofujących się już wraz z łupami na statki. Oprócz bogactw zabrali jeszcze dziewczyny, które stały się teraz niewolnicami. Uchodząc podpalali wszystkie mijane budynki.

Elryk stał się motorem zagłady ostatniego, pradawnego, najwspanialszego i najpotężniejszego z istniejących kiedykolwiek imperiów. Czuł, że wraz z miastem umiera jakaś częśćka jego samego.

Spojrzał na Imrryr i z wielkim żalem obserwował, jak smukła i przepiękna wieża łamie się w pół i zapada w morze płomieni.

Zniszczył ostatni monument dawnej, swojej własnej, rasy. Pewnego dnia ludzie znów nauczą się budować tak mocne i proporcjonalne wieże, ale póki co wiedza ta przepadała wraz z upadkiem Miasta Snów i wymieraniem rasy Melni-bonéaninów.

Ale co właściwie działo się ze Smoczymi Władcami? Ani oni, ani ich złota flota nie pojawili się, by odeprzeć atak, który potykał się, jak dotąd, jedynie z pieszymi oddziałami. Czy może ukryli statki w jakichś tajemnych kanałach, a sami uciekli w głąb lądu? Walka trwała dziwnie krótko, jak na pokonanie wielkiej Smoczkiej Armii. Cała wyprawa wyglądała na podejrzenie łatwą. Może władcy Imrryru zamierzali uderzyć dopiero teraz, gdy flota najeźdźcy wycofywała się? Może planowali zemstę? Elryk wyczuwał, że to całkiem prawdopodobne. Przyszło mu do

głowy, że może to być związane ze smokami i zadrzał. Nie wspominał dotąd nikomu o bestiach, nad którymi Melnibonéanie panowali od stuleci. A jeśli właśnie w tej chwili ktoś otwiera wrota wielkich Smoczycich Jaskiń? Wolał o tym nie myśleć.

Flota kierowała się już na pełne morze, a Elryk wciąż jeszcze spoglądał ze smutkiem na miasto swych przodków i utraconej Cymoril. Pamięć tej jednej chwili, gdy dziewczyna rzucona została na czubek miecza, nie chciała go opuścić, powodując coraz większą gorycz. Wspominał jej ostrzeżenia z czasu, gdy wyruszał do Młodych Królestw zostawiając ją samą w pałacu. Pamiętał, jak przyjęła osadzenie Yyrkoon na Rubinowym Tronie w roli regenta i zrzeczenie się przez Elryka władzy na rok. Przeklął siebie, ale w tej właśnie chwili usłyszał, jak po pokładach niesie się pomruk zaniepokojenia. Podniósł głowę, by odkryć przyczynę zamieszania.

Trzydzieści melnibonéańskich okrętów wojennych, wszystkie o złotych żaglach, wyłaniało się z dwóch wylotów kanałów po obu stronach zatoki. Elryk zrozumiał, że obrońcy musieli czekać na nich w bocznych pieczarach, zamierzając zaatakować podczas odwrotu. Każda z wielkich galer, ostatnich okrętów Melniboné, których sekret budowy dawno już zaginął, miała po trzy lub cztery rzędy wiosł na każdej burcie. Poruszały się one równo, a potężne, emanujące dostojenstwem wieku i mocą jednostki wojenne okręzały z wolną flotą napastników.

Elrykowi wydało się nagle, że wszystkie statki morskich wodzów to nic więcej, jak tylko zbieranina łódek z kory, bezradnych wobec majestatu okrętów wojennych, które były doskonale przygotowane do walki, a ich załogi wypoczęte, podczas gdy rabusie mieli już za sobą jedną bitwę. Elryk wiedział, że jedynym ratunkiem może być wezwanie demonów wiatru. Większość jednostek flagowych stłoczona była obok siebie, sam książe znajdował się na statku Yarisa, który zginął od noża zniewolonej dziewczyny, gdy dobierał się do niej pijany. Obok znajdował się okręt hrabiego Smiorgana, który marszczył gniewnie czoło widząc, że w tej potyczce nie pomoże nawet przewaga liczebna.

Jednak wezwanie wiatru dość silnego, by zdołał wypełnić żagle tak wielu statków, było niebezpieczne, jako że wyzwolenie podobnie potężnej mocy łatwo mogło obrócić się przeciwko pożądanemu zwycięzcy. Niemniej jedyną alternatywą było wystawienie się na uderzenia złotych taranów.

Elryk zebrał się w sobie i rozpoczął litanie pradawnych imion bytów powietrznych. Nie mógł pozwolić sobie na pełny trans, musiał bowiem mieć stałe baczenie na rozwój sytuacji. Rzucał wezwania, które chwilami przypominały krzyk głup-taka, chwilami ryk przyboju, aż w końcu Moce Wiatru zamajaczyły przed jego umęczonymi oczami. Zaczęło go boleć serce, osłabł jakby miał zaraz paść na pokład. Zebrał wszystkie swe siły, by nakazać wiatrowi runąć na melnibonéańskie

statki. Te, pomimo rozmiarów, poddały mu się niczym słomki. Potem skierował wicher w żagle około czterdziestu statków morskich wodzów. Tyle tylko był w stanie spróbować ocalić, jako że pozostałe znalazły się poza jego zasięgiem.

Niemniej wybrana czterdziestka umknęła przy wtórze wycia wichru, skrzywienia burt i masztów, łopotania żagli. Drzewce wiosel wyrwane zostały z rąk wioślarzy i zniknęły, połamane, w spienionych kilwaterach.

Nagle znaleźli się poza kręgiem złotych galer. Morze stało przed nimi otworem, ale załogi wyczuwały, iż zawdzięczają wybawienie siłom zła, obcym istotom i niepewnie spoglądały na kotłujące się wkoło nich mgliste kształty.

Smiorgan zamachał do Elryka i uśmiechnął się z wdzięcznością.

— Dzięki tobie jesteśmy bezpieczni! — krzyknął poprzez wodę. — Wiedziałem, że przyniesiesz nam szczęście!

Elryk nie odpowiedział.

Władcy Smoków nie rezygnowali. Gnani pragnieniem zemsty ruszyli w pościg. Złote okręty były niemal równie szybkie, jak wspierana magicznymi mocami flota rabusiów. Nie trwało zatem długo, jak ich ofiarą padło kilka statków, które przy pierwszych porywach wiatru utraciły maszty.

Elryk ujrzał, jak z pokładów galer szybują haki z matowo lśniącego metalu i wbijają się w drewno pozbawionych żagli maruderów. Katapulty złocistych okrętów wyrzuciły ogniste pociski i wiele spośród umykających jednostek zajęło się ogniem, który wżerał się w drewno wydzielając smrodliwy dym. Członkowie załóg na próżno próbowali gasić płonące odzienie, z krzykiem rzucali się do wody, która również nie mogła stłumić palącego żywiołu. Niektórzy od razu utonęli i widać było, jak niczym przypieczone przez lampę ćmy, nadal gorejąc, idą na dno.

Pokłady nietkniętych statków wkrótce okryły się czerwienią posoki, gdy rozścierzeni imriryjscy wojownicy zsunęli się na ich pokłady po linach, siejąc spustoszenie potężnymi mieczami i toporami bojowymi. Strzały i włócznie dziesiątkowały załogi mniejszych statków.

Elryk widział to wszystko, gdy jego statek wyprzedzał jednostkę flagową Imriryru, którą dowodził admirał Magum Colim.

W końcu książę znalazł chwilę dla hrabiego Smiorgana.

— Wyrwiemy się! — krzyknął poprzez wiatr ku pokładowi sąsiedniego statku, gdzie Smiorgan szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w niebo. — Ale pamiętaj, by sterować na zachód, inaczej koniec z nami!

Hrabia jednak nie zareagował, wciąż wzrok miał wbity w górę, a na jego twarzy malowało się coraz większe przerażenie, uczucie, którego nigdy dotąd nie doświadczył. Przełamując wewnętrzny opór, Elryk podążył za spojrzeniem Smiorgana i ujrzał to co on.

Bez wątplenia były to smoki! Wielkie gady dzieliło od nich jeszcze kilka kilometrów, ale Elryk potrafił je rozpoznać. Wielkie, latające bestie miały skrzydła

o rozpiętości niemal dziesięciu metrów i węzowe dwunastometrowe ciała zaczynające się łbami o wąskich pyskach, a kończące biczami ogonów. Wprawdzie nie zionęły, jak nakazywała legenda, ani płomieniami, ani dymem, to jednak dość miały ognia w sobie, żeby ich jad mógł przy bezpośrednim kontakcie zapalić drewno czy płótno.

Na grzbietach smoków siedzieli imrriyjscy wojownicy z długimi, przypominającymi włócznie ościeniami i rogami, których granie niosło się pomiędzy wzburzonymi wodami i bezchmurnym niebem. Smok-przewodnik zatoczył koło nad flagową galerią, a każdemu poruszeniu jego skrzydeł towarzyszył huk podobny do uderzenia gromu.

Zielono-szary, okryty łuską potwór unosił się w wodnej mgiełce nad złotą galerią. Jego sylwetka rysowała się wyraźnie, choć pod ostrym kątem, na tle błękitu. Na ościeniu łopotał czarny proporzec z zygzakowatymi, żółtymi liniami. Elryk rozpoznał te barwy.

Oto Dyvim Tvar, przyjaciel Elryka z młodych lat, Pan Smoczych Jaskiń, prowadził swoje zastępy do ataku, by pomścić piękne Imrriyr.

— To jest teraz największe niebezpieczeństwo — krzyknął Elryk do Smiorgana. — Za wszelką cenę musicie je odeprzeć!

Rozległ się szcęk żelaza, gdy załogi zakładały zbroje w daremnej praktycznie nadziei stawienia czoła nowemu zagrożeniu. Magiczny wiatr niewiele mógł zaradzić przeciwko latającym bestiom.

Dyvim Tvar najwyraźniej naradził się już z Magumem Colimem, bowiem gad dowódcy zamachał żywiej skrzydłami i zaczął nabierać wysokości, a pozostałe ruszyły jego śladem.

Z pozorną powolnością smoki zbliżały się do floty rabusiów, którzy modlili się, każdy do swych bogów, o cud.

Byli skazani na przegraną i nic nie można było już na to poradzić. Żadnemu statkowi nie uda się ująć takiemu zagrożeniu. Cała wyprawa na nic.

Elryk widział rozpacz malującą się na twarzach morskich wodzów, pomimo że maszty nadal trzeszczały poganiane huraganowym wiatrem. Teraz pozostało już tylko umrzeć. . .

Książę usiłował zebrać wzburzone nagle myśli. Wyciągnął miecz i poczuł pulsującą w nim złą siłę. Teraz jednak nienawidził swego oręża, który uczynił zeń zabójcą jedynej umiłowanej ludzkiej istoty. Miecz raz jeszcze przypomniał mu, że tak naprawdę to nie wiadomo, kto tu jest panem. Dał też odczuć, jak słaby byłby Elryk bez Zwiastuna Burzy, czarnego miecza praojców. Urodził się przecież albinosem, a to oznaczało ułomność. Nie miał tyle sił i takiej odporności jak normalny Melnibonéanin. Nagle mgła jego umysłu rozproszyła się, zostawiając po sobie strach. Przeklął pomysły z zemstą i dzień, gdy zgodził się poprowadzić wyprawę na Imrriyr, a najszeptniej pomyślał o martwym już Yyrkoonie i jego szaleństwie, które stało się zaczątkiem fatalnego rozwoju wydarzeń.

Za późno było już jednak na żale i przekleństwa. Smocze skrzydła przesłoniły niebo. Elryk musiał podjąć jakąś decyzję — chociaż teraz nie zależało mu przesadnie na życiu, to jednak nie miał ochoty zginąć z rąk swych pobratymców. Poprzysiągł sobie, że sam wybierze minutę swej śmierci i załatwi sprawę własnymi rękami. Była to decyzja wypływająca z głębokiej nienawiści wobec samego siebie.

Gdy smok plunął jadem trafiając ostatni statek w linii, ksiązę odwołał demony wiatru.

Całą siłę włożył w skierowanie wichru w żagle jednej tylko jednostki, tej, na której płynął. Pozostawieni na znieruchomiłych nagle statkach zdumieni towarzysze krzyczeli doń w panice, niczego nie rozumiejąc. Żaglowiec Elryka ruszył, błyskawicznie nabierając szybkości. Wyglądało na to, że w pojedynkę ma szansę umknąć powietrznym napastnikom.

Porzucił jednak tego, który mu zaufał. Patrzył tylko z daleka, jak smoczy jad spada na hrabiego Smiorgana spowijając go zielonkawo-szkarłatnym płomieniem. Elryk płakał i urągał złośliwym bogom za ten jeden bezsensowny, czarny dzień, gdy postanowili spłodzić człowieka. Ksiązę ruin uciekał, starając się nie myśleć o przyszłości.

Blask płomieni pochłonał już wszystkie pozostawione za rufą statki morskich wodzów. Załoga okrętu Elryka patrzyła na swego kapitana po części z wdzięcznością, bo jednak uszli zagłady, po części oskarżycielsko. Ksiązę zaś nie próbował nawet ukryć łez ni żalu.

Następnej nocy, gdy potwory Smoczej Wyspy przestały im już zagrażać, Elryk stanął na rufie smutny i zamyślony. Załoga przyglądała mu się z lękliwą nienawiścią, mamrocząc coś o zdradzie i bezdusznym tchórzostwie. Zdawali się zupełnie nie pamiętać własnego przerażenia.

Płynęli wzdłuż wybrzeży wyspy zwanej Pan Tang. Elryk rozmyślał głównie o swoim mieczu trzymanym właśnie w obu dłoniach. O tym, że Zwiastun Burzy nie był zwyczajną bronią, wiedział od dawna, teraz jednak przekonał się, że miecz zdolny jest do większej samodzielności, niż kiedykolwiek przypuszczał. Ten przedmiot potrafił nawet zapanować nad swym właścicielem, skłaniając go do nie chcianego zabójstwa. Ale ich losy zależne były od siebie, to Elryk zrozumiał od razu, choć prawda ta przejmowała grozą. Lękał się mocy czarnego miecza, nienawidził go za chaos, jaki wprowadzał w jego myślach. Ksiązę spróbował zmusić się do rozważenia wszystkich za i przeciw na chłodno. Owszem, bez pomocy złowrogiego miecza nieraz by już stracił honor, a może nawet życie, wówczas jednak mógłby zaznać słodkiego wytchnienia. Zwiastun Burzy dawał mu władzę i siłę, zawsze jednak prowadził go ku kolejnej krwawej awanturze. Tak, zawdzięczał mu wiele, niemal wszystko, prócz spokoju.

Książę wciągnął głęboko powietrze i ogarnięty nagle złymi przeczuciami, cisnął miecz w pozłoczone blaskiem księżycy fale.

Ten jednak nie zatonął, nie można było też powiedzieć, by unosił się na powierzchni wody. Wbił się jedynie w grzbiet fali i sterczał tam wibrując z lekka, jakby utkwiał w zwykłej desce czy drzewie. Zanurzony na piętnaście centymetrów ostrza rozpoczął osobliwą pieśń, a może diabelski krzyk, pełne strasznej złości zawołanie.

Przeklinając na czym świat stoi, Elryk wyciągnął rękę, by uchwycić oręż z piekła rodem. Wychylił się jak mógł daleko za burtę, ale nadal kilka metrów dzieliło go od rękojęści. Zdyszany pomyślał, że oto nadeszła chwila klęski. Przechylił się jeszcze bardziej i wpadł z pluskiem do lodowato zimnej wody. Niezgrabnie, wykonując prawie groteskowe ruchy popłynął ku Zwiastunowi Burzy. Został pokonany. Miecz zwyciężył.

Ścisnął dłoń rękojęść. Ledwo to uczynił, poczuł, jak nowe siły wypełniają jego obolałe ciało. Zależność między Elrykiem a jego bronią była całkowicie obustronna, bowiem tak jak albinos potrzebował miecza, tak i ten, pasożyt, potrzebował właściciela. Pozbawiony władającego nim człowieka runiczny oręż byłby bezsilny.

— Musimy zatem trzymać się razem — mruknął w rozpacz Melnibonéanin. — Diabelskie siły nas połączyły i los, zawsze niełaskawy. Niech zatem tak będzie, niech ludzie drżą ze strachu i rzucają się do ucieczki, ile razy usłyszą o Elryku z Melniboné i Zwiastunie Burzy, jego mieczu. Mamy zresztą wiele wspólnego, obu nas stworzyła epoka, która już minęła. Dajmy zatem rodzącej się teraz, nowej erze powody do strachu, niech wiedzą, czemu mają się nas bać!

Odzyskawszy siły, Elryk schował Zwiastuna Burzy do pochwy i mocnymi uderzeniami ramion skierował się ku wyspie. Pozostawiona zaś na statku załoga odetchnęła z ulgą i długo się tylko potem zastanawiała, czy ich przywódca przeżył tę lodowatą kąpiel, czy może przepadł w mrocznych wodach tego dziwnego i bezimiennego morza...

KSIEGA DRUGA
GDY BOGOWIE SIĘ ŚMIEJĄ

Mojemu ojcu poświęcam

*Ja, gdy bogowie się śmieją, jestem wirem świata,
Maelstromem napiętności tych ukrytych mórz,
Których fale szturmują brzegi me przez lata;
Mroczne wody skłębione wiodą mnie przez kurz.*

MERVYN PEAKE, *Kształty i dźwięki*
1941

Rozdział 1

Pewnej nocy, gdy Elryk siedział w tawernie pijąc samotnie, burza przyniosła bezskrzydłą kobietę z Myyrrhn. Z ulgą spoczęła obok niego.

Miała szczupłą twarz o delikatnych rysach, niemal tak samo białą jak oblicze albinosa. Otuliła się cieniutkimi, bladozielonymi szatami, których barwa ostro kontrastowała z ciemnoczerwonymi włosami.

Rozjaśniona gospoda pełna była głośnie rozmawiających i śmiejących się ludzi, ale księżę usłyszał jej słowa wyraźnie, jakby zgiełk nie stanowił dla nich żadnej przeszkody.

— Szukam cię od dwudziestu dni — powiedziała do Elryka, który rozparty w wysokim fotelu przyglądał się jej wyniośle spod ociężałych powiek. W prawej dłoni trzymał srebrny puchar z winem, lewą położył na jelcu swego miecza, Zwiastuna Burzy.

— Dwadzieścia dni — mruknął Melnibonéanin pod nosem z rozmyślną nieuprzejmością. — To długa wędrówka, jak na tak piękną i samotną kobietę. — Otworzył oczy nieco szerzej, po czym zwrócił się wreszcie wprost do niej. — Jak z pewnością wiesz, jestem Elrykiem z Melniboné. Nie oczekuję niczyich łask i o żadne nie proszę. Pamiętaj o tym. A teraz wyjaśnij, czemu właściwie szukałaś mnie aż tak długo.

— Zgorzkniałeś, Elryku — odezwała się spokojnie kobieta nie zrażona podejrzliwością albinosa. — Zresztą dla mnie to nic nowego. Wiem zarówno o tym jak i o twoim kompleksie winy, której powody obrosły już w legendę. Nie szukam zatem przychylności, przychodzę zaś przynosząc siebie i pewną propozycję. Czego pragniesz najbardziej na świecie?

— Spokoju — rzucił Elryk i uśmiechnął się ironicznie. — Wiesz, pani, zły ze mnie człowiek, który niewątpliwie wyląduje kiedyś w piekle, nie jestem jednak głupcem ani oszustem. Legenda to czy nie, pozwól, że przypomnę ci, jak było naprawdę. Rok temu ostrze mego wiernego miecza odebrało życie pewnej niewieście. — Poklepał broń, a jego oczy przybrały nagle poważny wyraz. — Od tamtego czasu unikam kobiet, żadnej nie pragnąc. Czemu niby teraz miałbym zachować się inaczej? Owszem, mógłbym zacząć czarować cię wierszami, wy-

chwalać twe piękno i wdzięk, które uznają za nietuzinkowe, ale nie ma sensu, bym próbował składać na czyjeś barki części nawet gniotącego mnie brzemienia. W każdym razie nie na twoje. A jakiegokolwiek nasze bliższe kontakty do tego by właśnie, koniec końców, doprowadziły. — Umilkł na chwilę. — Ponadto muszę dodać, że krzyczę przez sen i często popadam w depresje, podczas których jestem zupełnie nie do życia. Odejdź, pani, póki możesz spokojnie to uczynić, i zapomnij o Elryku z Melniboné, bo inaczej ściągniesz jedynie biedę na swą głowę.

Odwrócił się od niej i uniósł srebrny puchar, wypił do dna, po czym zaraz ponownie napełnił go winem ze stojącego obok fotela dzbana.

— Nie — odparła spokojnie bezskrzydła kobieta z Myyrrhn. — Nie odejdę. To ty chodź ze mną.

Wstała i łagodnym gestem ujęła dłoń Elryka. Nie mając pojęcia, czemu właściwie, księżę pozwolił, by wyprowadziła go z tawerny wprost na wichurę wyjąca na ulicach filkhariańskiego miasta Raschil. Na wszelki wypadek przywołał na usta cyniczny uśmiech, ona zaś powiodła go na sam skraj smaganego morzem brzegu, gdzie zdradziła mu swe imię: Shaarilla z Tańczącej Mgły, bezskrzydła córka nieżyjącego już nekromanty. Istota odrzucona, kaleka w swym własnym kraju.

Elryka zaczął ogarniać niepokój. Łagodnooka kobieta coraz bardziej go intrygowała, a na dodatek poczuł, jak ożywają w nim emocje, których nie myślał już kiedykolwiek doświadczać. Pragnął objąć jej krągłe ramiona i przycisnąć szczupłe ciało do swojego. Zwalczył jednak pokusę i przyjrzał się tylko uważniej jej marmurowym rysom i burzy włosów spowijających jej głowę.

Stali tak, jakby obawiali się spłoszyć odrobinę intymnej ciszy, która zapadła pomiędzy nimi pomimo ponurego zawodzenia wiatru i huku fal. Elrykowi przestał nagle przeszkadzać smród miasta, ogarnął go niemal spokój. W końcu ona oderwała spojrzenie i zerkając na skotłowane morze, powiedziała:

— Słyszałeś, jak sędzę, o Księdze Martwych Bogów?

Elryk przytaknął. Mocne wciąż pragnienie izolacji i samotności zaczynało ustępować zainteresowaniu. Legendarna księga zawierać miała rozwiązanie większości problemów, które gnębiły ludzkość od wieków. Podobno była skarbnicą świętej i wszechpotężnej mądrości, marzeniem każdego czarownika. Legenda dodawała jednak, że księga została zniszczona, że ciśnięto ją w słońce, a stać się to miało wtedy, gdy Starzy Bogowie umierali pośród kosmicznych pustkowi daleko, daleko poza systemem słonecznym. Inna jeszcze legenda, najpewniej o wiele późniejsza, napomykała coś mgliście o mrocznych indywiduach, które przechwytyły lecącą ku słońcu księgę. Większość autorytetów odrzucała tę drugą wersję dowodząc, że gdyby tak było, to księga już dawno musiałaby gdzieś się ujawnić.

— A czemu wspominasz o Księdze? — spytał Elryk od niechcienia, udając brak zainteresowania.

— Bo mam pewność, że istnieje — odparła z naciskiem. — Wiem też, gdzie jest. Mój ojciec powiedział mi to przed śmiercią. Jeśli pomożesz mi ją zdobyć,

mieć będziesz i ja, i mnie.

— A może w księdze zapisano też sposób na znalezienie spokoju? — zastanawiał się Elryk. — Wówczas udałoby mi się na dobre rozstać ze Zwiastunem Burzy.

— Jeśli tak bardzo jej pragniesz — powiedział w końcu — by aż u mnie szukać pomocy, to czemu nie chcesz zatrzymać jej wyłącznie dla siebie?

— Bo .bałabym się mieć coś takiego pod moją wyłączną pieczę. To nie jest księga dla kobiety. Ty zaś jesteś zapewne ostatnim na tym świecie wielkim znawcą czarnej magii. Tobie ta księga przystoi. Poza tym, zdolny byłbyś zabić mnie, by ją zdobyć, tym samym nigdy nie byłabym bezpieczna. Tak naprawdę to potrzebuje zaledwie drobnej cząstki twojej wiedzy.

— Czyli? — spytał Elryk, uważnie przyglądając się jej pięknemu obliczu i czując, jak jego opór topnieje.

Zacisnęła usta i opuściła oczy.

— Gdy będziemy już mieli księgę, wtedy ci powiem. Nie wcześniej.

— Odpowiedź dobra jak każda inna i póki co wystarczy mi — mruknął Elryk widząc, że na razie nie dowie się niczego więcej. Zanim w pełni zdał sobie sprawę z tego, co czyni, wziął ją w ramiona i przycisnął swe blade wargi do jej szkarłatnych ust.

Elryk i Shaarilla jechali na zachód, ku Milczącym Krainom. Dwa dni temu ich statek dobił do wybrzeży żyznych równin Shazaaru. Niedługo dotrzeć mieli do granicy kraju leżącego pomiędzy Shazaarem a Milczącymi Krainami, nie zamieszkanego obszaru, gdzie nawet wieśniacy niechętnie się zapuszczali, pomimo iż była to okolica urodzajna i bogata w surowce. Shazaar nie próbował nigdy rozrastać się w tym kierunku, mieszkańcy zaś Milczących Krain rzadko pokazywali się po drugiej stronie Mglistych Moczarów, naturalnej granicy pomiędzy krainami. Zresztą Shazaarczyki skłonni byli traktować słabo znanych sąsiadów z wręcz zabobonnym strachem.

Elryk i Shaarilla podróżowali szybko i bez przeszkód, chociaż atmosfera robiła się coraz bardziej złowieszczą. Czasem spotkali ludzie, którzy przecież nie mieli pojęcia o celu ich wędrówki, ostrzegali przed coraz bliższym niebezpieczeństwem. Elrykowi nie poprawiało to humoru, ale nic nie mówił i nie dzielił się obawami z Shaarilla, której zdawało się odpowiadać milczenie księcia. W ogóle mało rozmawiali za dnia, zachowując siły na nocne miłosne szaleństwa.

Jedynymi dźwiękami naruszającymi ciszę pogodnego, zimowego dnia było podzwanianie zbroi i oręża Elryka oraz tętent dwóch koni zmierzających niepew-

nym szlakiem ku Mglistym Moczarom.

Pewnego ponurego wieczoru dotarli wreszcie do bagien wytyczających granice Milczących Krain. Zatrzymali się tam, rozbijając jedwabny namiot na wzgórzu ponad spowitym w mgliste opary pustkowiec.

Księżyc chwilami wyglądał spoza ciągnących przez całe niebo czarnych chmur, z rzadka rzucając dość blasku, by można było dojrzeć połyskliwe powierzchnie błot czy okalające je trzciny. W pewnej chwili osrebrzył nawet Elryka, ale zaraz zniknął, jakby spłoszony widokiem tak niezwyklej istoty, zostawiając księcia w głębokim zamyśleniu i w ciemności, której Melnibonéanin tak bardzo pragnął.

Ponad odległymi górami przetoczył się grom, załomotał echem niczym śmiech bogów. Elryk zadrżał i ciaśniej otulił się płaszczem, nie odrywając spojrzenia od zamglonego krajobrazu.

Shaarilla rychło dołączyła do towarzysza podróży. Stała obok w grubej, wełnianej opończy, która jednak do końca nie chroniła przed przenikliwym chłodem.

— Milczące Krainy — mruknęła. — Czy te wszystkie opowieści mają coś z prawdy, Elryku? Uczono cię o tym w dawnym Melniboné?

Elryk zmarszczył brwi zły, że mu przeszkodzono. Obrócił się ku niej gwałtownie, spojrzał obojętnie szkarłatno-irysowatymi oczami.

— Ich mieszkańcy budzą lęk i nie są ludźmi — odparł matowym głosem. — Tyle wiem. Dotąd mało kto odważył się tam zapuścić, a z tego co pamiętam, nikt nie wrócił. Nawet w czasach, gdy Melniboné było metropolią potężnego imperium, to naród Milczących Krain był jedynym, nad którym moi przodkowie nie mieli władzy i wcale jej nie pragnęli. Podobno jest to wymierająca rasa, o wiele bardziej przesiąknięta złem niż moi ojcowie. Cieszyła się ona władzą nad całą Ziemią na długo przedtem, nim człowiek dorósł do panowania. Tutejsi mieszkańcy rzadko wypuszczają się poza swe terytorium, szczególnie teraz, gdy góry i bagna odgradzają ich od świata.

Shaarilla roześmiała się.

— A zatem to w ogóle nie są ludzie? To co powiesz o moich pobratymcach, którzy podobno są z nimi spokrewnieni? Co powiesz o mnie, Elryku?

— Dla mnie jesteś dość ludzka — odparł Elryk obojętnie, patrząc jej w oczy.

Uśmiechnęła się.

— Powiedzmy, że to był komplement. Może z czasem znajdziesz lepszy.

Tej nocy spali niespokojnie. Tak jak Elryk oczekiwał, powróciły koszmary i często wykrzykiwał przez sen imię, na którego dźwięk oczy Shaarilli wypełniały się smutkiem i zazdrością. Elryk wzywał Cymoril. Zdawał się widzieć ją w majakach, przemawiał do niej tajemniczymi słowami, których Shaarilla wołała

nie słyszeć. Roztrzęsiona, zatkąła zatem uszy.

Następnego ranka zwinęli obóz. Gdy wspólnie składali szeleszczącą materię żółtego namiotu, Shaarilla unikała spojrzenia Elryka, później jednak, gdy on nie zdradzał niczego szczególnego w zachowaniu, zdecydowała się zadać mu nieco drżącym głosem pytanie, które, czuła, musi zadać, mimo iż nie jest to łatwe.

— A czemu ty pożądasz Księgi Martwych Bogów? Czego pragniesz w niej poszukać?

Elryk wzruszył ramionami, zbywając pytanie, ale ona powtórzyła je, tym razem wolniej, z naciskiem.

— Skoro chcesz wiedzieć, to niech będzie — odparł w końcu. — Ale to dłuższa historia. Można powiedzieć, że poszukuję dwóch rzeczy.

— Jakich, Elryku?

Wysoki albinos upuścił na trawę składany właśnie namiot i westchnął. Przesunął nerwowo palcami po jelcu miecza.

— Po pierwsze, czy istnieje może ostateczny Bóg, czy nie? Muszę to wiedzieć, Shaarillo, jeśli mam z sensem pokierować swoim życiem. Naszymi żywotami rządzą Władcy Ładu i Chaosu, ale czy jest jeszcze ktoś potężniejszy od nich?

Shaarilla położyła dłoń na ramieniu Elryka.

— A po co ci ta wiedza?

— Czasem tęsknię do boga łaskawego, zycliwego i łagodnego. Moje myśli błądzą po nocy przedzierając się przez czarną pustkę i poszukują czegoś, cokolwiek, co przyniosłoby mi nadzieję, ogrzało, obroniło, powiedziało jasno i wyraźnie, że w tym chaotycznym wszechświecie jest jednak pewien ład, że w jego istnieniu kryje się jakaś głębsza myśl, że nie jest to tylko przypadkowy przebłysk szaleństwa na wieki trwającej, złośliwej anarchii wydarzeń.

Elryk westchnął jak ktoś pełen rozpaczy.

— Bez potwierdzenia, że istnieje jednak jakiś porządek rzeczy, jedyne ukojenie znaleźć mogę akceptując anarchię. W ten sposób poddałbym się radośnie chaosowi mówiąc sobie, że i tak wszyscy od narodzin jemu jesteśmy podlegli, a nasze mgnienie oka trwające, przekłete istnienie pozbawione jest znaczenia. A wówczas przyjdzie uznać, iż nasza samotność jest absolutna i nieokreślona, bowiem wieczna, skoro nie było nigdy nikogo, kto by nas obronił. Długo nad tym myślałem, Shaarillo, i wszystko zdaje się wskazywać na to, że anarchia dominuje. Pomimo wszelkich praw, które odnajdujemy u podstaw naszych działań, czarów i logiki, to jednak chaos rządzi światem. Gdyby Księga stwierdzała, że jest inaczej, wówczas chętnie zaakceptuję to. Do tej chwili jednak skłonny jestem pokładać wiarę wyłącznie w moim mieczu i w sobie samym.

Shaarilla wpatrywała się w Elryka zdumiona.

— Czy te twoje wywody nie są przypadkiem wynikiem niedawnych jeszcze

wydarzeń? A może tkwi gdzieś w tobie lęk przed karą za morderstwo i zdradę? Czy nie prościej jednak byłoby ci uwierzyć w taki pusty świat, w którym sprawiedliwość zdarza się jedynie przypadkiem?

Elryk spojrział na nią z irytacją, ale nim się odezwał, minęła mu wszelka złość. Opuścił oczy.

— Może — powiedział bez przekonania. — Nie wiem. Taka jest prawda, Sharillo, że nie wiem.

Dziewczyna przytaknęła, a na jej twarzy odmalowało się współczucie. Elryk jednak nie dojrzał tego, bowiem jego oczy wypełniły się łzami, które pociekły po pociągłej twarzy, odbierając mu chwilowo wszelką siłę i ochotę do działania.

— Jestem opętany — jęknął. — Bez tego diabelskiego miecza, który noszę u boku, w ogóle nie byłbym człowiekiem.

Rozdział 2

Dosiedli szybkich, czarnych koni i dzikimi okrzykami pogonili je ze wzgórza ku bagnom. Płaszcze łopotały za nimi na wietrze. Twarze obojga były poważne i zacięte, jakby w próbie stawienia oporu gnębiącej ich, bolesnej niepewności.

Ledwie zdołali wyhamować, gdy kopyta koni zachlupotały na podmokłym gruncie.

Elryk zaklął i ściągnął wodze, kierując wierzchowca na suchy teren. Shaarilla również opanowała swego spanikowanego ogiera, wyprowadzając go z mokradła.

— Jak tu przejechać? — spytał niecierpliwie Elryk.

— Była kiedyś mapa — zaczęła niepewnie Shaarilla.

— I gdzie jest?

— No... zginęła. Ja ją zgubiłam. Staralam się jednak potem przypomnieć ją sobie i myślę, że dam radę przeprowadzić nas bezpiecznie.

— Jak mogłaś ją zgubić? Czemu nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? — indagował albinos.

— Przykro mi, Elryku, ale w przeddzień naszego spotkania zdarzyło się coś dziwnego. Cały dzień umknął z mej pamięci, nawet nie wiem jak. Gdy się ocknęłam, mapy nie było.

Elryk zmarszczył czoło.

— A zatem jakaś siła sprzysięgła się przeciwko nam. Na pewno — mruzczał.

— Miejmy nadzieję, że twoja pamięć nie jest zbyt zawodna. Te bagniska mają złą sławę na całym świecie, ale jeśli wierzyć pogłoskom, nie grozi nam nic ponad to, co mogłoby nas spotkać na każdym innych mokradłach. — Skrzywił się i musnął palcem rękojeść miecza. — Ty pierwsza, Shaarillo, ale nie oddalaj się za bardzo. Prowadź.

Dziewczyna przytaknęła ponuro, zwróciła konia na północ i pogalopowała skrajem trzęsawisk, aż dotarli do wielkiej, samotnej i pstrokatej skały. Tu zaczynała się szeroka na niecałe półtora metra, trawiasta ścieżka. Mimo iż dalej ginęła w snujących się mgłach, wyglądała jednak na drogę pewną. Shaarilla ostrożnie wprowadziła na nią konia, po chwili poganiając go do powolnego kłusa. Elryk podążył za nią.

Wierzchowce niechętnie zagłębiły się w białawych oparach i jeźdźcy musieli skrócić cugle. Mgła wyciszała okolicę, a z ciągnącej się po obu bokach stojącej wody dobywał się smród rozkładu. Nie było słychać ani jakiegokolwiek szelestu przemykających drobnych zwierząt, ani pokrzykiwania żadnego ptaka. Wszechobecna, ciężka cisza deprymowała konie i wędrowców.

Walcząc z panicznym lękiem, Elryk i Shaarilla jechali coraz głębiej w osobliwe Mgliste Mokradła, uważnie rozglądając się wokoło i czujnie łowiąc wszystkie zapachy.

Kilka godzin później, gdy słońce minęło już południe, nagle koń Shaarilli zarżał gwałtownie. Dziewczyna krzyknęła na Elryka. Twarz miała wykrzywioną strachem, a oczy utkwione w mglisty opar. Księżę pogonił wierzchowca i szybko dołączył do Shaarilli.

Coś poruszało się powoli w lepkiej bieli. Elryk sięgnął prawą dłonią do lewego boku i ujął rękojeść Zwiastuna Burzy.

Ostrze wydostało się z krzykiem na zewnątrz. Czarny ogień igrał na klindze, a obca, straszna siła popłynęła z oręża w ciało księcia. Oczy albinosa zapłonęły chorą czerwienią, a usta wykrzywiły się szyderczo, gdy pogonił konia ku mglistym kształtom.

— Ariochu, Panie Siedmiu Mroczności, nie opuszczaj mnie teraz! — krzyknął, dostrzegając niewyraźną postać. Była niemal równie biała jak mgła, trochę jednak ciemniejsza. Wysoka prawie na trzy metry i na tyle samo szeroka, wyciągnęła się wysoko ponad głowę Elryka. Wciąż jednak istniała tylko pod postacią zarysów, zdawała się nie posiadać ani twarzy, ani kończyn, widniała jako sam ruch, który swą istotą nie wróżył nic dobrego. Arioch, boski patron Melnibonéanina, postanowił udać tym razem, że nic nie słyszy.

Elryk czuł, jak mocno bije wielkie serce konia, który jednak nie próbował wyrwać się spod kontroli jeźdźcy. Shaarilla krzyczała coś, ale księżę nie słyszał tego. Ciał niewyraźny kształt, napotykając jedynie mgłę, która zawyła ze złością. W tejże chwili skończyła się cierpliwość przerażonego do szaleństwa konia i Elryk musiał zeskoczyć z siodła.

— Zajmij się nim — krzyknął do Shaarilli i ruszył ku kłębiącej się postaci, która całkowicie zablokowała ścieżkę.

Teraz był w stanie dostrzec więcej. Z góry spoglądało nań dwoje oczu o barwie jasnego wina, chociaż stwór nie posiadał wyraźnej głowy. Tuż poniżej otwierał się zaśliniony, pełen kłów pysk. Brakowało tak uszu, jak i nosa, gdzieś z górnych partii wyrastały za to cztery wypustki, dolna partia ciała zaś, jakby pozbawiona nóg, po prostu spływała na ziemię. Od samego widoku tego monstrum mogła rozboleć głowa. Nie dość, że było obrzydliwe, to jeszcze paskudnie zionęło smrodem śmierci i rozkładu. Zmagając się ze strachem, albinos zbliżał się krok po kroku, gotów odparować mieczem jakikolwiek atak stworzenia, które kojarzyło mu się ze słyszonym niegdyś opisem tak zwanych Mglistych Gigantów, a może nawet

jednego tylko, zwanego Bellbane. Nawet najmędrsi czarnoksiężnicy nie potrafili orzec, ile ich naprawdę istnieje, jeden czy więcej. Był to upiór z rodziny ghoulów bytujących na terenach podmokłych, który żywił się duszami i krwią ludzi oraz zwierząt. Jednak te mokradała znajdowały się daleko na wschód od przypuszczalnego żerowiska Bellbane'a.

Elryk przestał się dziwić, czemu tak mało zwierząt zamieszkuje te okolice. Z wolna zaczynało się zmierzchać.

Zwiastun Burzy dygotał w dłoni Elryka, gdy ten wykrzykiwał imiona dawnych boskich demonów swego ludu. Paskuda musiała najwyraźniej rozpoznawać przynajmniej niektóre z nich, bowiem cofnęła się nieco. Elryk postąpił za stworem i dojrzał, że tak naprawdę to nie był on wcale biały, ale mienił się kolorami, które nie tyle dawały się zobaczyć, co raczej wyczuć ogólną sugestią pomarańczu naznaczonego zgniłą, zielonkawą żółcią.

Książę ruszył do ataku, ciskając w gniewie kolejne imiona, które pochodziły z na tyle głębokich pokładów jego podświadomości, że sam wypowiadający nie znał ich znaczeń.

— Balaan-Marthim! Aesma! Alastor! Saebos! Yerdalet! Nizilfkm! Haborym! Haborym Płomienisty, Haborym Niszczyciel!

Elryk rozdwoił się. Jedna część jego osobowości pragnęła za wszelką cenę uciec i ukryć się, druga jednak, i ta wzięła górę, pchała go ku potworowi. Miecz ciął sylwetkę. Równie dobrze można by kroić wodę, jednakże Zwiastun Burzy nie miał zwykłego ostrza. Mglisty stwór zadrżał z bólu. Elryk znalazł się nagle w powietrzu. Nic nie widział i pozostało mu jedynie siekać i krajać to coś, co go schwytało.

Pot ściekał z księcia strumieniami, ale walka trwała. Wypełnił go ból, nie tyle fizyczny, ale wszechobecny i przerażający. Albinos nie ustawał. Wywijał się i siłował z uchwytem, podczas gdy potwór unosił go powoli ku rozwierającej się paszczy. Ścisnął go tak, jak szorstki kochanek mógłby objąć dziewczynę. Zdawało się, że nawet magiczny miecz nie był w stanie śmiertelnie ugodzić monstrum, które wprawdzie jakby trochę osłabło, nadal jednak miało wyraźny zamiar skonsumować śmiałka.

Elryk znów zaczął wymawiać upiorne imiona, Zwiastun Burzy zaś tańczył w dłoni księcia, wyśpiewując swą własną pieśń. Krańcowo wyczerpany albinos zaczął słać prośby i obietnice, ale paszcza wciąż zbliżała się nieubłaganie.

Skrzywiony z bólu raz jeszcze wezwał Ariocha i nagle poczuł muśnięcie złej, potężnej, sardonicznej myśli i wiedział już, że Arioch w końcu zareagował! Mglistego Giganta niemal natychmiast opuściły siły, co Elryk bezzwłocznie wykorzystał. Dzięki nowemu przyływowi sił zdwoił tempo uderzeń miecza.

W pewnej chwili poczuł, że spada. Lot, powolny i nieważki, zdawał się trwać całe godziny. Książę wylądował w końcu na jakiejś powierzchni, która zawyla pod jego ciężarem i zaczęła się zanurzać.

Skądś, z daleka, spoza czasu i przestrzeni, dobiegało go wołanie, którego wcale nie pragnął słyszeć. Czuł się szczęśliwy, leżąc tak na czymś zimnym, co z wolna zaczynało go wchłaniać.

Szósty zmysł podpowiedział mu, że wzywający go głos należy do Shaarilli. Zmusił się, by zrozumieć sens jej słów.

— Elryku, bagno! Jesteś w bagnie! Nie ruszaj się!

Uśmiechnął się do siebie. Czemu miałby się ruszać? Przecież zanurzał się powoli, spokojnie, osuwał się w przyjazną topiel. . . Czyżby to kiedyś już się zdarzyło, w jakimś innym czasie, na innych mokradłach?

Nagle, w jednej chwili, dotarła doń cała rzeczywista groza sytuacji. Otworzył oczy. Ponad nim kłębiła się mgła. Z jednej strony z wolna parowała smrodliwa kałuża cieczy o trudnym do nazwania kolorze, z drugiej zaś strony rysowała się energicznie gestykująca, niewyraźna sylwetka, za którą ledwie dawały się dostrzec zarysy dwóch koni. Tam była Shaarilla, pod nią zaś. . .

Pod nim było bagno.

Tłuste, śmierdzące błoto ściągało go coraz niżej. Leżał na wznak, z szeroko rozpostartymi ramionami i nogami, ale i tak był już na wpół zanurzony. W prawej dłoni wciąż ścisnął Zwiastuna Burzy, widział go, ledwie obróciwszy głowę. Ostrożnie spróbował unieść górną część ciała. Udało mu się, ale nogi z miejsca osunęły się niżej. Siedząc prosto zawołał dziewczynę.

— Shaarilla! Szybko, podaj linę!

— Nie mam liny! — krzyczała, drąc w pasy jakiś fragment swojego ubrania.

Elryk wciąż tonął, nie znajdując w głębinie żadnego oparcia dla stóp.

Shaarilla szybko powiązała pasy materii i w ten sposób sporządzoną linę rzuciła energicznie choć niewprawnie albinosowi. Upadła za daleko. Dziewczyna zebrała ją pospiesznie i spróbowała raz jeszcze. Tym razem Elryk lewą ręką dosięgnął płótno i silnie je ścisnął. Podciągnął się trochę, po czym zamarł w bezruchu.

— Nie da rady, Elryku! Nie mam dość siły!

— Koń! — odchrzyknął książę, klnąc ją w duchu. — Przywiąż linę do konia!

Pobiegła ku najbliższemu wierzchowcowi i zapętlila materię na łęku siodła, po czym pociągnęła konia za uzdę.

Elryk uwolnił się powoli z chciwej pułapki, wypętlając na względnie bezpieczny kawałek bardziej stałego terenu.

Usiłował wstać, zdyszany, ale nogi nie mogły go utrzymać. Gdy w końcu udało mu się pozbierać, zaraz znowu upadł. Shaarilla uklękła obok niego.

— Nie jesteś ranny?

Na przekór słabości Elryk zdobył się na uśmiech.

— Nie sędzę.

— To było straszne. Nie widziałam zbyt dokładnie, co właściwie się działo. Zniknąłeś, a potem zacząłeś wykrzykiwać to. . . to imię! — Drżała cała, a jej twarz była trupio biada.

— Jakie niby imię? — spytał szczerze zdumiony Elryk.
Potrzęsła głową.
— Mniejsza z tym, ale cokolwiek wezwałeś, to cię uratowało. Zaraz potem znów się pojawiłeś i upadłeś w bagno. . .
Dzięki mocy Zwiastuna Burzy albinos był z każdą chwilą silniejszy.
Wstał z niejakim wysiłkiem i pokuśtykał do swego konia.
— Pewien jestem, że Mglisty Gigant nie poluje zazwyczaj na tych mokradłach, ale został tu specjalnie przysłany. Co albo kto to zrobił, nie mam pojęcia, musimy jednak jak najszybciej znaleźć się na pewniejszym gruncie.
— To jak, jedziemy naprzód czy się cofamy?
— No nie, oczywiście, że jedziemy dalej. Cemu pytasz, Shaarillo?
Z wysiłkiem przełknęła ślinę i potrzęsła głową.
— Pospieszmy się zatem — powiedziała tylko.
Dosiedli koni i ostrożniejsi już teraz ruszyli w dalszą drogę, aż spowite płaszczem mgły trzęsawiska zostały za nimi.
Teraz, gdy wiedzieli już na pewno, że jakaś wroga siła zastawia na ich drodze pułapki, podróżowali o wiele czujniej, mało odpoczywając i zmuszając potężne i silne wierzchowce do maksymalnego wysiłku.
Piątego dnia, gdy jechali przez kamienistą pustynię, zaczęło lekko padać.
Grunt zrobił się śliski i musieli zwolnić, aby konie mogły utrzymać się na nogach. Przytuleni do ich karków, przemoknięci pomimo płaszczy, jechali w ciszy, aż gdzieś z przodu dobiegło ich niewyraźne ujadanie i tętent kopyt.
Elryk skierował się ku wielkiej skale zwisającej z prawej strony nad drogą.
— Schowajmy się tutaj — powiedział. — Coś nadciąga ku nam, i mogą to być wrogowie. — Shaarilla posłuchała go i razem czekali, podczas gdy odgłosy wyraźnie się przybliżały.
— Jeden jeździec i kilka zwierząt — powiedział Elryk, nasłuchując uważnie.
— Zwierzęta albo idą za jeźdźcem, albo go gonią.
Wkrótce gromada znalazła się w polu ich widzenia. Dostrzegli umykającego mężczyznę na widocznie przestraszonym koniu, a za nimi zbliżające się z wolna stworzenia, które na pierwszy rzut oka przypominały psy, ale z pewnością nimi nie były. Miały ciała na wpół psie, a na wpół ptasie, smukłe i kudłate, z psimi łapami i ptasimi szponami w miejsce pazurów i zagiętymi dziobami zamiast pysków.
— To sfora Dharzi! — przeraziła się Shaarilla. — Sądziłam, że te stworzenia wymarły razem ze swymi panami!
— Ja też, ale co one robią w tej okolicy? — zdumiał się Elryk. — Władców tych krain nic nigdy nie łączyło z Dharzi.
— Coś musiało je tu sprowadzić — wyszeptała Shaarilla. — Na pewno zaraz nas wyczują.
Elryk sięgnął po miecz.

— A zatem niczym już nie ryzykujemy, przyłączając się do awantury — powiedział, wypuszczając wierzchowca. — Poczekaj tutaj.

Diabelska sfora goniąca jeźdźca mijała akurat skałę. Elryk ruszył w ślad za nimi.

— Hej tam! — krzyknął do umykającego. — Zawróć i zatrzymaj się, przyjacielu, chcę ci pomóc!

Uniesiony wysoko miecz jęknął do wtóru, gdy kopyta konia uderzyły pierwsze z ujadających stworzeń, łamiąc bestii kręgosłup. Zostało ich jeszcze pięć czy sześć. Nieznajomy zawrócił konia i dobył z pochwy długą szablę. Był to niewysoki mężczyzna z brzydkimi i szerokimi ustami, które właśnie rozciągnęły się w pełnym ulgi uśmiechu.

— Co za szczęśliwe spotkanie, dobry panie!

Tyle tylko zdążył powiedzieć, nim dwa ptako-psy rzuciły się na niego i musiał skupić wszelkie wysiłki na obronie przed klapiącymi dziobami i ruchliwymi szponami.

Pozostałe trzy bestie energicznie zajęły się Elrykiem. Jeden ze stworów wyskoczył wysoko, mierząc dziobem w gardło albinosa, który poczuł na swej twarzy powiew nieświeżego oddechu. Książę szybko zatoczył Zwiastunem Burzy morderczy łuk, rozłupując przeciwnika na dwoje. Krew trysnęła na Elryka i koński grzbiet, a jej zapach rozjuszył pozostałe zwierzęta. Ożywiła jednak runiczny miecz, który zaczął wydawać niemal ekstatyczne dźwięki i sam, wyrывая się Elrykowi z dłoni, dopadł następną bestię, wbijając się czubkiem zaraz pod mostkiem gotującego się do skoku ptako-psy. Ten zawył z bólu i spróbował dosięgnąć ostrza, ale ledwie jego dziób zetknął się z lśniącym i czarnym metalem klingi, wkoło rozszedł się mdlący smród palonej chityny, a krzyk bestii urwał się nagle.

Rozglądając się za ostatnim z przeciwników, Elryk kątem oka dojrzał jeszcze zwęglone truchło poprzedniego, gdy jego wierzchowiec stanął dęba, mierząc kopytami w ptasio-psy paszczę. Bestia uniknęła ciosu i zaatakowała księcia z lewej, nie bronionej strony. Albinos szybko okręcił się w siodle i wciął się w czaszkę napastnika, aż mózg i posoka trysnęły na mokrą ziemię. Stworzenie żyło jeszcze i kłapało dziobem, ale Melnibonéanin zignorował je, zwracając uwagę na niewysokiego jeźdźca, który wprawdzie uporał się już z jedną bestią, miał jednak niejakie kłopoty z pokonaniem drugiej. Pies chwycił szablę dziobem tuż obok rękojeści i za nic nie chciał oddać oręża.

Szpony mierzyły już w gardło mężczyzny, ten zaś wciąż próbował uwolnić ostrze. Nadjeżdżający Elryk wycelował mieczem niczym lancą w podskakującego mutanta, który nadal usiłował dostać jakoś swą niedoszłą już raz ofiarę. Zwiastun Burzy wbił się w ciało w okolicy żołądka i rozplątał zwierzę od krocza do gardła. Dziób rozwarł się i trup padł na kamienisty grunt, w który zaraz też został wdeptany przez konia Elryka. Oddychając ciężko, albinos schował miecz i przyjrzał się uważnie temu, kogo uratował. Wcale nie pragnął poznawać go bliżej, szczerzył-

nie nie miał ochoty na przyjmowanie jakichkolwiek wyrazów wdzięczności i nie zawiódł się.

Szerokie usta cudownie ocalonego rozwarły się w uśmiechu, a on sam skłonił się w siodle, chowając szablę.

— Dzięki, dobry panie — powiedział beztrąsko. — Bez twojej pomocy długo jeszcze bym się męczył. Pozbawiłeś mnie niezłej zabawy, ale chciałeś dobrze. Zważ mnie Moonglum.

— Ja zaś jestem Elryk z Melniboné — odparł albinos, ale nie dostrzegł na twarzy człowieka żadnej reakcji na swe imię. To było dziwne, jako że nieśława Elryka zdążyła już dotrzeć do najdalszych zakątków świata. Powtarzana w tawernach opowieść o jego zdradzie i zabójstwie Cymoril nabrała zresztą kolorów i znana była powszechnie we wszystkich Młodych Królestwach. Owszem, nie cierpiał tej popularności, oszczędzała mu jednak ona czasu przy spotkaniach z nieznajomymi, z których każdy zwykle był w stanie szybko rozpoznać, kim jest albinos.

Zaintrygowany ignorancją Moongluma poczuł dziwną sympatię do niewielkiego a zadziornego jeźdźca. Próbował odgadnąć, z jakiego pochodzi kraju. Moonglum nie miał jednak zbroi, a jego znoszone szaty były z wyblakłego, błękitnego płótna. Ciemny, skórzany pas podtrzymywał szablę, sztylet i wełnianą sakwę. Stopy chroniły wysokie do kostek buty z popękanej skóry. Rząd jego konia był wyraźnie w najlepszym gatunku. Sam mężczyzna, wysoko usadzony na grzbiecie wierzchowca, mierzył niewiele więcej niż półtora metra. Nogi miał wyraźnie nazbyt długie w proporcji do reszty ciała. Nos krótki, lekko zadarty, zielono-szare, duże i niewinnie spoglądające oczy. Na czoło i na kark spadały kaskadami kudłate, intensywnie rude włosy. Uśmiechał się wciąż, spoglądając Elrykowi przez ramię na nadjeżdżającą Shaarillę.

Gdy tylko dziewczyna zatrzymała wierzchowca, Moonglum skłonił się dwornie.

Książę zaczął prezentację.

— Lady Shaarilla, pan Moonglum z...

— Z Elwheru — dodał spiesznie mężczyzna. — Z handlowej stolicy Wschodu, najpiękniejszego miejsca na świecie.

— Słyszałem o tym mieście — rzekł Elryk. — Raczej nowe, prawda? Ledwie paręset lat. Daleko podróżujesz.

— Zaprawdę, panie. Gdybym jeszcze nie znał języka, którym mówią w tych stronach, byłoby jeszcze gorzej. Szczęśliwie niewolnik, od którego usłyszałem wiele inspirujących opowieści o jego rodzinnych stronach, nauczył mnie tutejszej mowy.

— Ale po co w ogóle zapuszczasz się w te okolice? Nie słyszałeś legend? — spytała niedowierzająco Shaarilla.

— Nic innego jak owe legendy tak mnie rozpały. Właśnie je weryfikowałem,

gdy te szczeniaki mnie napadły. Czemu za mną pogoniły, nie mam bladego pojęcia, bo przecież nie dałem im żadnego powodu, by aż tak uwzięły się na mnie. Zaiste, barbarzyński to kraj.

Elryk poczuł się dziwnie. Beztroski charakter przemowy Moongluma był czymś zupełnie sprzecznym z ponurym usposobieniem księcia. Pomimo to jednak odkrył, że coraz bardziej lubi tego człowieka.

To Moonglum zaproponował, żeby może przez jakiś czas podróżowali razem. Niezbyt zachwycona Shaarilla rzuciła Elrykowi ostrzegawcze spojrzenie, ale ten nie zareagował.

— Dobrze zatem, przyjacielu, ostatecznie będzie nas więcej, chętnie powitamy twoje towarzystwo. Jedziemy ku góróm. — Elryk wyraźnie poweselał.

— A czego tam szukacie? — dociekał Moonglum.

— To tajemnica — odparł Elryk, a ich nowy towarzysz okazał się na tyle taktowny i dyskretny, że nie dopytywał dalej.

Rozdział 3

Deszcz padał coraz mocniej ze stalowoszarej powłoki niskich chmur, wybijając staccato na kamieniach. Zmagając się z pogwizdującym w uszach wiatrem trzy drobne postaci przemykały ku barierze czarnych gór wyrastających ponad światem niczym postać zasepionego boga. Gdy zbliżyli się do stóp pierwszego ze wzgórz, zdało im się, że słyszą śmiech owego boga, chociaż może był to tylko wiatr przewiewający mroczne, tajemnicze wąwozy i staczający ze spowitych w burzowe chmury szczytów odłamy bazaltu i granitu. Palczaste błyskawice zaczęły przeszukiwać ziemię i zwielokrotniony echem huk przetoczył się ponad graniami. Dopiero wtedy Shaarilla postanowiła podzielić się swoimi obawami z Mel-nibonéaninem.

— Wracajmy, Elryku. Proszę. Zapomnij o Księdze, zbyt wiele sprzysięgło się przeciwko nam. Nie lekceważmy znaków. To zbyt groźne!

Elryk jednak milczał zacięcie, od dłuższego czasu wiedział bowiem, że dziewczyna straciła już cały entuzjazm do wyprawy.

— Elryku, proszę. Nigdy nie znajdziemy Księgi. Wracajmy.

Jechała obok ciągnąc go za rękaw, aż w końcu księżę opędził się od niej niecierpliwie.

— Zbyt mnie to wszystko już wciągnęło, bym miał ochotę wycofać się teraz — powiedział. — Możesz albo poprowadzić nas dalej, albo powiedzieć mi, co wiesz, i zostać tutaj. Tak bardzo pragnęłaś mądrości Księgi, a wystarczyło ledwie kilka przeciwności, a już się boisz. Czego takiego chciałaś się dowiedzieć, Shaarillo?

Nie odpowiedziała wprost.

— A czego ty pragniesz? Powiedziałeś mi, że spokoju. Dobrze zatem, ale ostrzegam cię, że w tych ponurych górach nie znajdziesz go na pewno. O ile w ogóle pokonamy te skaliste ostępy. . .

— Nie musisz być ze mną we wszystkim aż tak szczerą, Shaarillo — odparł chłodno Elryk, wciąż wpatrzony w czarne turnie — ale ty jednak coś wiesz o tych siłach, które zagięły na nas parol.

Wzruszyła ramionami.

— To nie jest takie ważne, zresztą, niewiele pamiętam. Mój ojciec wygłosił przed śmiercią kilka ogólników, to wszystko.

— Co powiedział?

— Mówił, że On, który strzeże Księgi, zrobi co w jego mocy, aby nie dopuścić rodzaju ludzkiego do jej mądrości.

— I co jeszcze?

— To wszystko. Dość już jednak widziałam, by uznać, że mój ojciec wiedział, co mówi. To właśnie ten strażnik go zabił, Elryku, albo jeden z jego sług. Nie mam ochoty podzielić losu rodzica, i to niezależnie od tego, jak bardzo przydałaby mi się Księga. Miałam nadzieję, że jesteś dość potężny, aby mnie wesprzeć, ale teraz zacznam w to powątpiewać.

— Doprowadziłem cię aż tutaj — stwierdził Elryk. — A teraz powiedz mi, do czego konkretnie potrzebna jest ci Księga.

— Wstydzę się.

Elryk nie nalegał, ale w końcu jednak dziewczyna sama wyznała szeptem, w czym rzecz.

— Chcę skrzydeł.

— Skrzydeł!? Czyli oczekujesz, że znajdziesz w Księdze takie zaklęcie, które sprawi, iż wyrosną ci skrzydła! — Elryk uśmiechnął się ironicznie. — I w tym celu pragniesz odszukać największą skarbnicę mądrości tego świata!

— Gdybyś to ty był dla swoich kaleką, wówczas byś mnie zrozumiał! — krzyknęła ze złością.

Elryk spojrział na nią z dziwnym błyskiem w karmazynowych oczach. Potarł dłonią białą skórę i uśmiechnął się kącikami warg.

— Rozumiem cię — powiedział cicho, nie dodając już niczego więcej i dopiero teraz Shaarilla naprawdę się zawstydziła.

Jechali w ciszy, aż Moonglum, który dyskretnie wysforował się przed Elryka i Shaarillę, spojrział na coś uważnie i ściągnął cugle.

— Co się stało, Moonglumie? — spytał Elryk, gdy już doń dołączył.

— Słyszę stamtąd zbliżające się konie. I głosy, które brzmią mi znajomo. Coś jakby kolejna sfera tych paskudnych stworzeń, ale tym razem w towarzystwie jeźdźców!

Elryk też dosłyszał już odległy zgiełk i krzyknął na Shaarillę.

— Może miałaś rację. Zbliżają się nowe kłopoty.

— I co robimy? — spytał Moonglum marszcząc czoło.

— Jedziemy w góry — odparł Elryk. — Może im umkniemy.

Pogonili wierzchowce do szybkiego galopu i skierowali się ku wzgórzom.

Były to jednak próżne wysiłki. Nie minęło wiele chwil, a sfera wykwitła na horyzoncie i ptasio-psie istoty ruszyły w ich kierunku. Elryk oglądał się co chwila na prześladowców, ale noc już zapadała i z każdą minutą trudniej było dojrzeć cokolwiek, w tym goniących za sferą jeźdźców odzianych w czarne oponcze

i uzbrojonych w długie włócznie. Ich twarze ginęły w cieniu narzuconych na głowy kapturów.

Elryk i kompania zmuszali konie do maksymalnego wysiłku w biegu pod górę, ku skałom, które dawały nadzieję schronienia.

— Tam się zatrzymamy — nakazał Elryk. — Spróbujemy ich powstrzymać. Na otwartym terenie łatwo by nas okrążyli.

Moonglum przytaknął gorliwie. Będąc już na miejscu odprowadzili spocone wierzchowce kawałeczek dalej, a sami zaczęli przygotowywać się do walki z wyjącą sforą i jej spowitymi czernią panami.

Nie czekali długo, aż pierwsza bestia wypadła zza grani poszczekując pazurami na skałach i kłapiąc dziobem. Ustawieni pomiędzy dwoma głazami Elryk i Moonglum szybko rozprawili się z nią i jeszcze trzema następnymi. Jednak widać już było nadciągających jeźdźców z resztą sfory.

— Na Ariocha! — zaklął Elryk, nagle rozpoznając postacie. — To Władcy Dharzi, martwi od dziesięciu stuleci. Walczymy z trupami, Moonglumie, i z nader żywotnymi duchami ich psów. O ile nie znajdę na nich jakiegoś magicznego sposobu, to już po nas!

Póki co zombi nie palili się do ataku. Czekali, mierząc obłączonych spojrzeniami świecących, martwych oczu, a diabelskie ogary uparcie usiłowały przedrzeć się przez zaporę stali obu ostrzy. Elryk przetrząsał wszystkie zakamarki umysłu w poszukiwaniu jakiegoś zaklęcia, dzięki któremu można by odesłać całe to cmentarne towarzystwo do piekła. W końcu znalazł coś i mając nadzieję jedynie, że starczy mu sił, by sprawę doprowadzić do końca, zaczął:

*Niech Ład, który rządzi wszelką rzeczą,
Nie ustępuje, byle tknięty,
A ci, co królewską pychę grzeszą,
Raz jeszcze zapadną w odmęty.*

Nic się nie wydarzyło.

— Próżny trud — mruknął Elryk odpierając atak kolejnego psa.

Nagle jednak grunt zakołysał się, a skały pod kopytami koni martwych jeźdźców zaczęły jakby się gotować. Wstrząsy trwały jeszcze przez kilka sekund i wszystko się uspokoiło.

— Zaklęcie nie było dość mocne — westchnął Elryk.

Ziemia znów zadrżała i gdzieniegdzie na stoku z wolna zaczęły formować się nieduże kratery. Coraz więcej kamieni leciało w dół, gdzie stapały coraz bardziej zdenerwowane konie napastników. I wtedy dopiero się zaczęło.

— Do tyłu! — krzyknął Elryk, czując nadciągający kataklizm. — Chowajmy się, albo podzielimy ich los!

Wycofali się, dołączając do czekającej z końmi Shaarilli. W dole rżały przerażone wierzchowce Dharzich, ocalałe zaś psy szukały w panice pomocy u swoich panów. Z ust zombich dobył się niski i przeciągły jęk i nagle cały teren, który zajmowali, rozpękł się, a martwi władcy zaczęli staczać się z krzykiem w szczeliny, wracając tam, skąd zostali przedtem wezwani. Elryk i reszta towarzystwa nie czekali na finał, tylko szybko dosiedli koni.

Z głębin ziemi doleciał ich jeszcze upiorny śmiech. To Królowie Ziemi brali w posiadanie zdobycz, która z dawna im się należała. Skamlące bestie krążyły nad brzegami szczelin, usiłując złapać jakiś znajomy zapach, aż i one wtłoczone zostały do otchłani, by podzielić przeznaczenie swych panów.

Moonglum zadrżał.

— Dziwny z ciebie facet, Elryku — powiedział lekko trzęsącym się głosem, gdy zwrócili konie ponownie ku wyniosłym góróm.

Następnego dnia dotarli do celu i Shaarilla poprowadziła ich pamiętaną z mapy skalną ścieżką. Nie błagała już Elryka, by zawrócili, pogodziła się ze wszystkim, co jeszcze miał im przynieść los. Albinos zaś robił się coraz bardziej niecierpliwy. Chęć zdobycia Księgi urosła w nim do rozmiarów obsesji i pewien już był, że znajdzie w niej odpowiedź na ostateczne pytania egzystencji. Pogodny zwykle Moonglum odnosił się do tego wszystkiego sceptycznie, Shaarillę nachodziły coraz to kolejne złe przeczucia.

Deszcz nie ustawał, podobnie jak przeciągające jedna za drugą burze. Gdy woda zaczęła łać się z nieba z siłą godną oberwania chmury, dotarli wreszcie do mrocznego wylotu wielkiej jamy.

— Dalej już was nie poprowadzę — powiedziała zmęczonym głosem Shaarilla. — Księga znajduje się gdzieś za tą jaskinią.

Elryk i Moonglum spojrzeli po sobie niepewni, co właściwie mają teraz zrobić. Wejść do ziejącej czernią pieczary? Pomysł był kuszący, ale podejrzenia budził fakt, że wejście ani nie było niczym zagrodzone, ani też nikt go nie pilnował.

— To dziwne — powiedział Elryk. — Tyle pułapek i niebezpieczeństw, a teraz nikogo przed wejściem. Na pewno nie pomyliłaś jaskiń, Shaarillo?

Dziewczyna wskazała na skałę ponad otworem. Wryty był tam symbol, który Elryk natychmiast rozpoznał.

— Znak Chaosu! — krzyknął. — Powiniennem się tego domyślić.

— Czego niby? — spytał Moonglum.

— Ten symbol oznacza wieczny rozpad i anarchię — wyjaśnił książę. — Znajdujemy się na terenie opanowanym przez Władców Entropii lub któregoś spośród ich sług. Oto kto jest naszym wrogiem! A to znaczyć może tylko jedno, że Księga jest niezmiernie istotna dla utrzymania porządków w tym wymiarze, a może nawet we wszystkich miriadach wymiarów całego wszechświata. Teraz wiem, cze-

mu Arioch tak niechętnie udzielił mi wsparcia. Ostatecznie on też jest Władcą Chaosu!

Moonglum wpatrywał się w Elryka zdumiony.

— Co chcesz przez to powiedzieć, przyjacielu?

— Nie wiesz, że istnieją dwie siły władające światem, dwie siły zwarte w odwiecznej walce? Ład i Chaos. Zwolennicy Chaosu twierdzą, że w rządzonym przez nich świecie wszystko jest możliwe. Ich oponenci, którzy oddali się na usługi Ładowi, skłonni są głosić, że nic nie jest możliwe bez Ładu. Inni jeszcze, ci trzymający się z dala od skrajności, uważają, że właściwym stanem rzeczy jest równowaga pomiędzy stronami. Nam jednak nie dano wyboru, zostaliśmy uwikłani w tę walkę. Księga jest cenną zdobyczą dla każdej ze stron i domyślam się, że słudzy Entropii obawiają się sił, które moglibyśmy uwolnić, mając Księgę. Ład i Chaos nieczęsto mieszają się bezpośrednio w ludzkie żywoty, to dlatego tak rzadko uświadamiamy sobie ich obecność. Tak, teraz rzeczywiście mam szansę dowiedzieć się tego, co nurtuje mnie najbardziej. Czy jest jeszcze jakaś ostateczna siła, nadrzędna wobec frakcji Ładu i Chaosu?

Elryk wszedł do mrocznego wnętrza jaskini, pozostali zaś, ociągając się, ruszyli w jego ślady.

— Jaskinia ciągnie się i ciągnie — powiedział Elryk. — Pozostaje iść dalej i patrzeć, dokąd nas to zaprowadzi.

— Miejmy nadzieję, że nie na samo dno piekieł — stwierdził ironicznie Moonglum, zapraszając Elryka gestem do objęcia przewodnictwa.

Kroczyli niepewnie, a wewnątrz robiło się coraz mroczniejsze. Głosy wracały zniekształconym echem, dno jamy opadało coraz niżej.

— To nie jaskinia — wyszeptał Elryk. — To tunel, ale nie mam pojęcia, dokąd prowadzi.

Przez kilka godzin maszerowali w całkowitej ciemności, trzymając się blisko siebie i nie widząc, gdzie właściwie stawiają stopy. Schodząc coraz niżej, stracili wszelkie poczucie czasu i Elrykowi zaczęło zdawać się, że wszystko to jest jedynie snem. Wydarzenia następowały ostatnio tak szybko, że trudno było je wszystkie ogarnąć wyobraźnią. Tunel był długi, mroczny, szeroki i zimny. Jediną pewną rzeczą pozwalającą utrzymać związek z rzeczywistością stała się kamienista podłoga, która pewnie trwała pod nogami. Może zresztą to nie oni się przemieszczali, ale podłoga przesuwała się pod nimi? Moonglum i Shaarilla niemal przywarli do tego jedyne go stałego podłoża, ale Elryk nie zwracał na nich uwagi. Czuł, jakby się zgubił, a jego myśli zwolniły bieg. Zdarzało się, że tracił równowagę i czuł, że stoi nad krawędzią przepaści. Innym razem padał z jękiem na twarde skały, które wyrastały w miejscu, w którym spodziewał się otchłani.

Z czasem pamiętał już tylko o tym, by wprawiać nogi w ruch, chociaż brak

było pewności, czy niosą go naprzód. Pojęcie czasu rozplynęło się w wielkiej, mrocznej nicości.

Wszystko to trwało tak do chwili, gdy w oddali zarysowała się nikła, błękitnawa poświata. Tak, szli we właściwym kierunku! Elryk pobiegł ku światłu tak gwałtownie, że dopiero po chwili opamiętał się i zwolnił. W chłodnym powietrzu rozszedł się jakiś obcy i dziwny zapach, a wraz z nim przyszedł lęk, chociaż Elryk mógłby przysiąc, że to nie on się boi.

Pozostali w oczywisty sposób odczuwali to samo, bowiem milczeli wymownie. Powoli, przyciągani jak ćmy, podchodzili coraz bliżej do błękitnego blasku.

Nagle wyszli z tunelu i spojrzeli zdumieni na widok, który ukazał się ich oczom. Błękitny blask zdawał się płynąć z samego powietrza. Wkoło wciąż panował półmrok, niemniej poświata pozwalała dojrzeć, iż stoją na półce skalnej ponad srebrzystą plażą nad ciemnym morzem, falującym nieustannie jak gigant pogrążony w niespokojnym śnie. Wzdłuż plaży spoczywały sterczące wręgami wraki rozmaitych statków, a każdy innej budowy. Morze ciągnęło się w mrok i nie dało się dostrzec horyzontu. Było bardzo zimno. Przejmujący chłód przenikał ich ciała. Pomimo bliskości morza powietrze było suche i pozbawione słonego zapachu. Troje podróżnych stanowiło jedyne elementy krajobrazu. Byli też jedynymi źródłami dźwięku, bowiem morze falowało w upiornej ciszy.

— Co teraz, Elryku? — wyszeptał trzęsący się Moonglum.

Nieruchomo stojący albinos z początku pokręcił jedynie głową. Jasna skóra jego twarzy i dłoni lśniła niesamowicie w obcym blasku.

— Skoro wracać nie ma po co, pozostanie nam wyruszyć na morze — powiedział w końcu głosem niskim i w taki sposób, jakby nie zdawał sobie sprawy ze znaczenia słów.

Elryk zaczął schodzić na plażę wykutymi w skale stopniami. Pozostali podążyli za nim, wpatrując się szeroko rozwartymi oczami w krajobraz pełen piękna i grozy.

Rozdział 4

Odgłos ich stąpięć po krystalicznych kamykach plaży macił wszechobecną ciszę. Elryk odszukał wzrokiem jakiś obiekt na nadbrzeżu i uśmiechnął się lekko. Potrząsnął gwałtownie głową, jakby chciał uporządkować myśli, i drżącą dłonią wskazał na jeden ze statków, który w odróżnieniu od pozostałych wyglądał na nie-
tknięty. Pomalowany na żółto i czerwono w żaden sposób nie pasował do otoczenia. Wydawał się zrobiony z osobliwego drewna. Moonglum przesunął palcami po burcie.

— Twarde jak żelazo — westchnął. — Nic dziwnego, że nie przegniło jak inne. — Zajrzał do środka i wzdrygnął się. — Wygląda na to, że właściciel nie będzie miał nic przeciwko, jeśli zaopiekujemy się jego łajbą — dodał skwaszony.

Elryk i Shaarilla zrozumieli, o co mu chodzi, gdy zerknąwszy do wnętrza łodzi, ujrzeli leżący na dnie, nienaturalnie wykręcony szkielet. Elryk wyciągnął truchło i rzucił na kamienie. Kości zagrzechotały, rozsypując się wkoło. Czaszka potoczyła się aż do skraju plaży, gdzie zległa wpatrzona pustymi oczodołami w ocean.

Elryk i Moonglum z trudem pchali łódź ku wodzie, Shaarilla tymczasem wyprzedziła ich, przykucnęła i zanurzyła dłoń w morzu. Zerwała się zaraz, otrząsając rękę.

— To nie jest żadna woda — powiedziała. — Nie znam takiej wody.

Usłyszeli ją, ale przyjęli to milczeniem.

— Potrzebny nam będzie żagiel — mruknął Elryk oceniając siłę chłodnej bryzy. — Może płaszcz wystarczy. — Zdjął opończę i przywiązał ją do masztu. — Przytrzymując brzegi żagla będziemy mogli kierować łodzią. To prowizorka, ale niczego lepszego tu nie wymyślimy.

Wsiedli, starając się nie zamoczyć stóp.

Wiatr wypełnił żagiel i pchnął ich na otwarte morze o wiele szybciej, niż na to liczyli. Stateczek gnał naprzód, zupełnie, jakby obdarzony był własną wolą. Elryka i Moongluma rychło zaczęły boleć ramiona, tak ciężko przychodziło utrzymać żagiel.

Srebrzysta plaża zniknęła wkrótce z pola widzenia i wkoło pozostało jedynie

morze i naznaczone czernią błękitne niebo. Wówczas to usłyszeli łopot skrzydeł i jak na komendę spojrzeli w górę.

Powoli zniżały się ku nim trzy masywne, przypominające mały stworzenia z wielkimi, skórzastymi skrzydłami. Shaarilla łatwo je rozpoznała.

— Clakary!

Moonglum zadrżał i wyciągnął szablę.

— Chociaż wiemy, jak się nazywają. A co to właściwie za istoty? — spytał. Nie otrzymał jednak odpowiedzi, bowiem pierwsza z małp zanurkowała rozdziawiając paszczę i wyciągając ku nim szpony. Moonglum puścił swój kawałek żagla i ciął bestię, ta jednak wywinęła się i ciężko bijąc skrzydłami wzleciała wyżej.

Elryk sięgnął Zwiastuna Burzy i zdumiał się wielce, bowiem pociemniałe ostrze milczało. Miecz wibrował w jego dłoni, a zamiast zwykłego przypływu sił księżę odczuł raczej jakiś wątpliwym impuls nieokreślonych emocji. Przez chwilę bliski był paniki, jako że bez pomocy runicznego oręża groziło mu rychłe osłabnięcie. Opanowując strach, skierował ostrze przeciwko następnej z atakujących bestii.

Małpa chwyciła klingę, przewracając Elryka, zaraz jednak zawyła z bólu, gdy ostrze odcięło jedną z guzłowatych łap, która spadła w strumieniu krwi na wąski pokład. Elryk złapał krawędź burty i zerwał się na równe nogi. Wijąc się z bólu, Clakar znów próbował atakować, ale tym razem zachował się ostrożniej. Zebrawszy wszystkie siły i ująwszy miecz w obie dłonie, księżę ciął przez skórzaste skrzydło. Tak okaleczona bestia legła na pokładzie, a albinos pchnął ostrzem tam, gdzie według jego osądu powinna mieć serce. Małpa znieruchomiła.

Moonglum opędał się energicznie przed jeszcze dwoma bestiami, które podchodziły go z przeciwnych stron. Klęczał, wymachując szablą i nawet udało mu się utoczyć nieco krwi jednemu z napastników, który jednak nie rezygnował z ataku. Elryk pospieszył z pomocą, wbijając czubek klingi w gardło ranego stworzenia. Małpa kurczowo zacisnęła pazury na ostrzu i wraz z mieczem spadła do wody. Jej ciało unosiło się z początku na powierzchni, potem zaczęło powoli tonąć. Elryk wyciągnął dłoń, aby złapać Zwiastuna Burzy, ale ku jego wielkiemu zdumieniu, znał bowiem własności oręża, które przecież już raz próbował oddać oceanowi, miecz też tonął, zapadał się w fale jak zwykły kawał żelaza. Elryk zdołał w końcu zacisnąć palce na rękojeści i wyrwać Zwiastuna Burzy ze sztywnych łap bestii.

Siły szybko go opuszczały. Zachodził w głowę, jakież to obce prawa rządzą światem tej jaskini i jak mógłby poprawić swe położenie, jako że bez mocy runicznego miecza dalsze działanie było niemożliwe!

Zakrzywiona szabla Moongluma uporała się z ostatnią małą i beztronski człowieczek z obrzydzeniem wypchnął trupa za burtę i tryumfalnie uśmiechnięty odwrócił się do Elryka.

— Dobra robota — powiedział.

Elryk potrząsnął głową.

— Im szybciej przebedziemy to morze, tym lepiej. W przeciwnym razie może być bardzo źle. Siły mnie odeszły.

— Jak? Czemu?

— Skąd mam wiedzieć? Może tutaj dominują siły Entropii. Nie ma czasu na spekulacje, trzeba się pospieszyć.

Spojrzenie Moongluma zdradzało niepokój. Nie mógł uczynić nic lepszego, jak tylko wykonać polecenie Elryka, który drżał cały, coraz słabiej trzymając żagiel. Shaarilla przysunęła się, by mu pomóc i spojrzała na księcia ze współczuciem.

— Co to były za bydlęta? — spytał Moonglum szczerząc zęby i dysząc po zwierzęcemu.

— Clakary — odparła Shaarilla. — To gatunek starszy niż pisana historia. Prymitywni przodkowie mojego ludu uznawanego za najstarszy pośród rozumnych mieszkańców tej planety.

— Ktokolwiek próbuje nas powstrzymać, stosuje oryginalne środki — skrzywił się Moonglum. — Widocznie dawne metody nie działają — dodał, ale żadne z jego towarzyszy nie odpowiedziało mu uśmiechem. Shaarilla była bez reszty zajęta bliskim omdlenia Elrykiem.

— Widać ład! — zakrzyknął Moonglum, przerywając ciszę.

Zaiste był to ład i szybko się doń zbliżali. Za szybko. Elryk wyprostował się z wysiłkiem.

— Rzuć żagiel — powiedział z wyraźną trudnością.

Moonglum posłuchał. Łódź zwolniła, aż w końcu wbiła się dziobem w piach następnej srebrzystej plaży. Wyrzuciło ich daleko poza linię wody, kil wyrył w jasnym podłożu ciemną szramę. Zatrzymali się nagle, stateczek zakołysał się i wszyscy troje wypadli za burtę. Moonglum i Shaarilla pozbierali się niezwłocznie, by odciągnąć bezwładnego albinosa wyżej, aż na skraj plaży, gdzie złożyli go na grubych, miękkich mchach. Przyjrżeli mu się z niepokojem niepewni, co będzie dalej.

Elryk chciał wstać, ale był za słaby.

— Dajcie mi trochę czasu — wyszeptał. — Nie umrę, ale chwilowo wzrok mi szwankuje. Miejmy nadzieję, że na stałym lądzie mój miecz odzyska swą moc.

Z wysiłkiem wyciągnął Zwiastuna Burzy i uśmiechnął się z ulgą, gdy ten rozjarzył się lekko i zaśpiewał, błyskając czarnym płomieniem. Elryk czuł, jak wypełniają go nowe siły, jednak jego oczu nie opuszczał cień bólu.

— Jak widzicie, bez tego miecza jestem niczym. A kim staję się dzięki niemu? Czy nigdy się od niego nie uwolnię?

Nie odpowiedzieli, ale oboje byli wyraźnie poruszeni okazaniem przez Elryka emocji, pomiędzy którymi był i strach, i nienawiść, i żal, powiązane z czymś jeszcze...

Książę stanął w końcu na niepewnych jeszcze nogach i bez słowa poprowadził kompanów przez porośnięte mchami pagórki ku płynącemu z góry bardziej naturalnemu blaskowi. Źródłem światła był szeroki komin najwyraźniej połączony ze światem zewnętrznym. W pobliżu można było dostrzec nieregularny zarys jakiejś budowli.

Podeszli bliżej. Był to zamek z czarnego kamienia, ruina właściwie, porośnięta mchami i powojami, które niemal opiekuńczo otuliły stareńkie mury. Gdzieś niedaleko z rozległego, ciemnego masywu wystrzelały wieże bez okien. Jedyny widoczny otwór stanowiła ciemna brama zagrodzona grubymi na palec metalowymi sztabami pobłyskującymi matową czerwienią, nie wydzielającymi jednak ciepła. Powyżej, znak Władców Entropii widniał wyryty w ognistym bursztynie — osiem strzał rozbiegających się z jednego punktu we wszystkich kierunkach. Emblemat zdawał się wisieć w powietrzu nie dotykając wcale omszałej skały.

— Mam wrażenie, że nasza podróż kończy się tutaj — powiedział ponuro Elryk. — ... albo nigdzie.

— Zanim pójdę dalej, Elryku, chcę wiedzieć, czego szukacie — wtrącił się Moonglum. — Chyba sobie na to zasłużyłem.

— Księgi — odparł beztrząsco Elryk. — Księgi Martwych Bogów. Pewien jestem, że spoczywa gdzieś w murach tego zamku. Dotarliśmy do celu drogi.

Moonglum wzdrygnął się.

— Lepiej było nie pytać — uśmiechnął się. — I tak niewiele rozumiem z twoich słów. Mam nadzieję, że w razie powodzenia i mnie skapnie coś ze zdobyczy, czymkolwiek ona będzie.

Elryk nie odpowiedział, ale chociaż wcale nie było mu do śmiechu, zdobył się na przyjazny grymas zrozumienia.

— Najpierw musimy wejść do zamku — stwierdził po chwili.

Zupełnie jak na rozkaz metalowe sztaby rozjarzyły się najpierw do jasnej zieleni, potem znów poczerwieniały, aż w końcu rozwiały się, jakby nigdy ich nie było. Wejście stało się otworem.

— Nie podoba mi się — jęknął Moonglum. — Za łatwo poszło. To musi być pułapka. Czy zamierzamy wpaść w nią ku radości tych, którzy rządzą tym zamczyskiem?

— A co innego możemy zrobić? — spytał cicho Elryk.

— Iść dalej. Lub cofnąć się. Cokolwiek, byle ominąć zamek, a nie drażnić Jęgo, który strzeże Księgi! — Shaarilla z całych sił chwyciła prawe ramię albinosa. Twarz jej wykrzywiła paniczny strach. — Zapomnij o Księżce, Elryku!

— Teraz? — roześmiał się książę. — Gdy jesteśmy już u celu? Nie, Shaarillo, jestem zbyt blisko poznania prawdy. Wolę już umrzeć, niż żyć ze świadomością, że zaniechałem spojrzenia do Księgi, gdy mogłem to uczynić.

Shaarilla rozluźniła uchwyt, ręce opadły jej bezwolnie.

— Nie możemy walczyć ze sługami Entropii...

— Może wcale nie będziemy musieli. — Elryk sam niezbyt dowierzał swoim słowom, wydało mu się, że jakaś siła zmusza go do ich wypowiedzenia.

Moonglum spojrzął na Shaarillę.

— Ona ma rację — powiedział z przekonaniem. — Nic tu nie znajdziesz, prócz zgorzknienia, a może i śmierci. Spróbujmy raczej zbadać tamte schody. Może uda się nimi wyjść na powierzchnię. — Wskazał na kręte stopnie prowadzące ku otworowi w sklepieniu jaskini.

Elryk potrząsnął głową.

— Nie. Jak chcecie, to sobie idźcie.

— Uparciuch z ciebie. — Moonglum skrzywił się, zakłopotany. — No dobrze, wszystko albo nic. Idę z tobą. Ale prawdę mówiąc, to ja osobiście jestem zwolennikiem kompromisu.

Książę ruszył powoli w głąb zamku.

Na środku podwórca pojawiła się wysoka, spowita w szkarłatny ogień postać, która wyraźnie ich oczekiwała.

Elryk minął bramę, a Moonglum i Shaarilla niespokojnie podreptali za nim.

Wyczekujący ich gigant wybuchnął śmiechem. Był nagi i nieuzbrojony, biło jednak od niego takie poczucie siły, że cała trójka omal nie zawróciła. Jego skóra pokryta była łuską koloru przydymionej purpury, a pod nią widać było potężne węzły mięśni lekko pracujących, gdy olbrzym kołysał się z wolna na piętach. Głowę miał podłużną, z mocno odsuniętym do tyłu czołem i jak wyciętymi z błękitnej stali oczami bez źrenic. Całym jego ciałem wstrząsał nieopanowany śmiech.

— Witam cię, panie Elryku z Melniboné! Gratuluję znaczącego osiągnięcia!

— Kim jesteś? — wychrypiął książę z ręką na mieczu.

— Nazywam się Orunlu Strażnik, a to jest warownia Władców Entropii. — Gigant uśmiechnął się cynicznie. — Nie musisz tak pieścić swojego scyzoryka, wiesz przecież, że tutaj już nie jestem w stanie nic ci zrobić. Tylko pod tym warunkiem pozwolono mi przedostać się na chwilę samemu do twojego wymiaru.

— Nie możesz nas powstrzymać? — spytał Elryk z rosnącym podnieceniem.

— Ani nie śmiem, tym bardziej że wszystkie moje dotychczasowe wysiłki spełzły na niczym. Muszę przyznać, że wasza niemądra wyprawa przysporzyła mi nieco kłopotu. Dla nas Księga jest sprawą najwyższej wagi, ale cóż może znaczyć dla was? Strzegę jej od trzystu stuleci i nigdy nie byłem ciekaw, co jest w niej tak istotnego, że aż fatygowano się, by uchronić ją przed spalaniem się w słońcu i umieścić na tej nudnej planetce zamieszkannej przez kłótlive i krótko-wieczne stworzenia zwane ludźmi?

— My poszukujemy w niej prawdy — odparł chwacko Elryk.

— Nic takiego nie istnieje. Jest tylko wieczna walka, ustawiczne zmagania — odparł z przekonaniem płomienisty gigant.

— A co włada ponad Ładem i Chaosem? — spytał Elryk. — Co określa twe przeznaczenie, tak jak moje jest określane?

Gigant zmarszczył czoło.

— Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Nie wiem. Istnieje tylko Kosmiczna Równowaga.

— No to może Księga powie nam, w czyich rękach spoczywa zadanie utrzymania równowagi — stwierdził całkiem już pewny siebie Elryk. — Pozwól mi przejść. I powiedz mi jeszcze, gdzie znajdę Księgę.

Olbrzym odsunął się z ironicznym uśmiechem na twarzy.

— Jest w małej komnacie w centralnej wieży. Chętnie sam pokazałbym ci drogę, ale przysięgałem, że nigdy tam nie zajrzę. Idź, jak chcesz. Moja rola skończona.

Cała trójka skierowała się ku wejściu do zamku, ale zanim w nim zniknęli, Orunlu przemówił ponownie, tym razem tonem ostrzeżenia.

— Słyszałem, że wiedza zawarta w Księdze może przechylić szalę na stronę sił Ładu. Trochę mnie to niepokoi, ale o wiele gorsza jest druga możliwa perspektywa.

— Jaka? — spytał Elryk.

— Że wyniknie z tego takie zamieszanie w multiwszechświecie, że ostatecznym wynikiem bałaganu będzie całkowita entropia. Moi panowie wcale tego nie pragną, bowiem oznaczałoby to zniszczenie wszelkiej materii. A naszym zadaniem nie jest zwycięstwo, ale walka, wieczne zmaganie.

— Mało mnie to obchodzi — odparł Elryk. — Niewiele mam do stracenia.

— Zatem idź. — Gigant przesunął się przez podwórzec i zniknął w mroku.

Błady blask oświetlał wijące się w górę schody wewnątrz wieży. Elryk zaczął wspinać się po nich w milczącej determinacji. Moonglum i Shaarilla podążyli za nim z wahaniem, a ich oblicza wyrażały stan bliski całkowitego pogodzenia się z losem.

Schody ciągnęły się coraz wyżej, aż przywiodły ich do kolorowej komnaty wypełnionej oślepiającym światłem, które nie promieniowało na zewnątrz, pozostając wyłącznie w murach wieży.

Mrugając oczami i zasłaniając je ramieniem, Elryk parł dalej, aż ujrzał źródło blasku leżące na niewielkim, kamiennym postumencie pośrodku pomieszczenia.

Podobnie oślepieni Shaarilla i Moonglum po omacku weszli do środka i stanęli zdumieni tym, co udało im się wypatrzeć.

Księga była wielka. Pulsowała światłem, sama była blaskiem i kolorem. Jej okładka lśniła ostro nieznanymi klejnotami.

— Wreszcie — dyszał Elryk. — Wreszcie poznam Prawdę! Jak pijany podszedł do postumentu i sięgnął bladymi dłońmi przedmiotu swych pragnień. Dotknął brzegu okładki i spróbował otworzyć Księgę.

— Teraz się dowiem — powiedział nieprzytomnie.

Okładka z chrzęstem spadła na podłogę, a klejnoty rozsypały się po posadzce. Przed Elrykiem leżał jedynie stos żółtawego pyłu.

— Nie! — krzyknął ze złością i niedowierzaniem. — Nie! — Łzy popłynęły mu po twarzy, gdy przesiewał miałki pył między palcami. Z jękiem cierpienia upadł twarzą w szczątki. Księga nie oparła się czasowi. Leżała tu nie niepokojona i najpewniej zapomniana przez trzysta stuleci. Mądrzy i potężni bogowie, którzy ją stworzyli, zniknęli, a teraz odszedł również ostatni ślad po nich.

Niedawni poszukiwacze Księgi stali teraz u stóp wysokich gór, patrząc w rozciągające się poniżej zielone doliny. Słońce lśniło na czystym i błękitnym niebie. Za nimi czerniał wylot tunelu prowadzącego do warowni Władców Entropii.

Elryk spojrział na świat ze smutkiem. Wciąż jeszcze pogrążony był w rozpacz. Nie odzywał się od czasu, gdy towarzysze wyprowadzili go, łkającego, z komnaty Księgi. Uniósł bladą twarz ku słońcu.

— Teraz przyjdzie mi żyć nie wiedząc nawet, czemu żyję ani czy jest w tym cel, czy nie — powiedział głosem ostrym, nabrzmiałym szyderstwem i zgorzknieniem, głosem samotnym niczym nawoływanie ptaków morskich krążących po zimnym niebie nad jałowym brzegiem morza. — Może Księga potrafiłaby mi odpowiedzieć. Ale czy nawet wówczas bym jej uwierzył? Jestem zatwardziałym sceptykiem, nigdy niepewny, czy sam kieruję swymi krokami, czy może jakaś wyższa istota mnie prowadzi. Zazdroszczę tym, którzy to wiedzą. Pozostało tylko iść dalej i bez nadziei łudzić się jednak, że zanim dni moje dobiegną końca, poznam jednak prawdę.

Shaarilla ujęła go za rękę. Oczy miała mokre od łez.

— Pozwól, że spróbuję ukoić twój ból.

Albinos westchnął ciężko.

— Żałuję, że w ogóle spotkaliśmy się, Shaarillo z Tańczącej Mgły. Na krótki czas natchnęłaś mnie nadzieją. Myślałem, że odnajdę w końcu spokój, ale przez ciebie więcej jest teraz we mnie rozpacz niż przedtem. Nie ma dla mnie ratunku w tym świecie, gdzie jedynie mogę czekać na marny koniec. Żegnaj.

Uwolnił się z jej dłoni i odszedł z boczem góry.

Moonglum spojrział najpierw na nią, potem na Elryka, a następnie wyjął coś z sakiewki i wcisnął to dziewczynie do ręki.

— Powodzenia — powiedział i pobiegł, by dogonić Elryka.

Nie zwalniając kroku, księżę spojrział na dołączającego doń Moongluma.

— Cóż to, przyjacielu? Zamierzasz mi towarzyszyć? — spytał spokojnie mimo ponurego nastroju.

— Skoro dotąd szedłem u twego boku, panie, to nie widzę powodu, aby nagle to zmieniać — uśmiechnął się człowieczek. — Poza tym, w odróżnieniu od ciebie, ja jestem materialistą i pamiętam, że człowiek musi jeść.

Elryk uniósł brwi czując, jak z wolna jego myśli rozpogadzają się.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Moonglumie?

Ten zachichotał.

— Wykorzystałem sytuację, jak zwykle to robię, o ile tylko można — odparł, ponownie sięgając do sakiewki i pokazując na wyciągniętej dłoni kilka klejnotów rzadkiej piękności, które wypadły z okładki Księgi. — Mam ich więcej — powiedział. — A każdy wart małą fortunę. — Ujął albinosa pod ramię.

— Dalej, Elryku. Ku krajom pogodnym, gdzie da się zamienić to bogactwo na wino i miłe towarzystwo!

Shaarilla stała wciąż nieruchomo na zboczu góry. Patrzyła za nimi, aż zniknęli w dali. Klejnot, który dostała od Moongluma, wypadł jej z dłoni i błyskając krawędziami stoczył się głęboko pomiędzy wrzosa. Nagle dziewczyna odwróciła się — przed nią zionął czernią wylot jaskini.

KSIEGA TRZECIA

ŚPIEWAJĄCA CYTADELA

W księdze tej Elryk po raz pierwszy ma do czynienia z wyspą Pan Tang, poznaje Yishanę z Jharkoru i czarownika Theleb K'aarna oraz dowiadyuje się nieco więcej o Dawnych Światach. . .

Rozdział 1

Spokojne, turkusowe morze lśniło złociście w blasku wczesnego wieczoru. Dwóch stojących przy relingu mężczyźni spoglądało w milczeniu na mglisty, północny horyzont. Jeden z nich był szczupły i wysoki, spowity w grubą, czarną opończe. Spod łopoczącego na wietrze kaptura wymykały się pasma długich, mlecznobiałych włosów. Drugi z mężczyźni charakteryzował się niskim wzrostem i rudym owłosieniem.

— To była wspaniała kobieta. Poza tym kochała cię — powiedział w końcu niższy. — Czemu porzuciłeś ją tak nagle?

— Była — odparł ten drugi — ale miłość do mnie wiele by ją kosztowała. Niech sama szuka swego miejsca. Zabiłem już jedną ukochaną istotę, Moonglumie, i wolałbym tego nie powtarzać.

Moonglum wzruszył ramionami.

— Zastanawiam się czasem, Elryku, czy te twoje ponure rozważania na temat losu, przeznaczenia i tak dalej, nie są przypadkiem jedynie wytworem własnej wyobraźni pożywanej kompleksem winy.

— Może — odparł Elryk od niechcenia. — Nie mam ochoty na analizę podświadomości. Dajmy temu spokój i nie wracajmy do tematu.

Wiosła z pluskiem zanurzały się w wodzie, pchając statek w kierunku portu w Dhakos, stolicy Jharkoru, jednego z najpotężniejszych Młodych Królestw. Poprzedni król tego państwa, Darmit, rozstał się z życiem niecałe dwa lata temu podczas fatalnej wyprawy na Imrryr. Elryk słyszał, że mieszkańcy królestwa podobno wciąż winią go za śmierć młodego władcy. Niezbyt się jednak tym przejmował, podobnie jak wszelkimi innymi oskarżeniami, które z różnych ust padały pod jego adresem. Wciąż skłonny był traktować większość rodzaju ludzkiego pogardą i lekceważyć jego opinie.

— Za godzinę zaczniesz się zmierzchać, a w nocy chyba nie da się tu żeglować — stwierdził Moonglum. — Najpewniej pójdziesz spać.

Elryk już miał mu odpowiedzieć, gdy przeszkodził mu ostry krzyk z bocianiego gniazda.

— Ster na bakburkę!

Człowiek stojący na wachcie musiał być solidnie zaspany, skoro odezwał się dopiero teraz, bowiem zbliżający się do nich statek był już dobrze widoczny z pokładu. Elryk odsunął się, by przepuścić kapitana, ciemnowłosego Tarkeshiteanina.

— Co to za statek? — spytał Moonglum.

— Tryrema z Pan Tangu. To okręt wojenny, i to na kursie kolizyjnym. — Kapitan pobiegł dalej wykrzykując do sternika, by skierował statek na bok.

Elryk i Moonglum przeszli na drugą burtę, by lepiej przyjrzeć się trójrzędowcowi. Była to czarna jednostka o takich też żaglach, z licznymi złoceniami. Przy każdym wiośle siedziło po trzech ludzi. Ogromny statek prezentował się zaiste wspaniale z wysoką, zakrzywioną rufą i niskim dziobem wyposażonym w obity brązowymi blachami taran. Ożaglowanie miał w typie zwanym łacińskim. Wiatr wyraźnie mu sprzyjał.

Spoceni wioślarze w panice usiłowali odwrócić galerę godnie z poleceniami sternika, nie potrafili jednak dostatecznie zgrać ruchów. Moonglum spojrzął na Elryka z uśmiechem.

— Nigdy im się nie uda. Lepiej sięgnij miecza, przyjacielu.

Pan Tang był wyspą czarowników, ludzi, którzy próbowali odzyskać okruchy dawnej wiedzy i potęgi Melniboné. Ich flota uchodziła za najlepszą wśród Młodych Królestw i rzadko ponosiła porażki. Teokrata Pan Tangu, główny kapłan rządzącego na wyspie kleru, Jagreen Lern, zawarł był podobno pakt z siłami Chaosu i przymierzał się do objęcia władzy nad światem.

Elryk uważał to towarzystwo za parweniuszy, którzy nigdy nie staną się nawet cieniem jego dumnych przodków, musiał jednak przyznać, iż czarny okręt robi wrażenie i że jest w stanie bez trudności pokonać tarkeshiteańską galerę.

Manewry nie zdały się na wiele. Parę chwil później kapitan i sternik umilkli wpatrzeni w wielki taran, który zbliżał się szybko, mierząc wprost w ich burtę. Nic nie można było już uczynić i po chwili ostroga wbiła się w rufę wybijając dziurę poniżej linii wodnej.

Elryk stał nieruchomo, patrząc na bosaki wysuwane z pokładu tryremy. Załoga galery, jakby wiedząc, że nie ma czego szukać wobec dobrze uzbrojonej i wyszkolonej załogi Pan Tangu, od razu pobiegła bronić się na rufie.

— Musimy im pomóc, Elryku! — stwierdził ponagłajaco Moonglum.

Książę zgodził się z wahaniem. Nie chciał wyciągać Zwiastuna Burzy, którego władza nad właścicielem zdawała się ostatnio niepokojąco rosnać.

Na pokład posypali się wojownicy w szkarłatnych zbrojach. Z obosiecznymi mieczami i toporami bojowymi w dłoniach, pierwsza fala uderzyła na tarkeshiteańskich marynarzy, z miejsca ich pokonując.

Ręka Elryka sięgnęła wreszcie po runiczny oręż, który jęknął ponuro, wydołyby z pochwy i rozjarzył się dziwnym, czarnym światłem. Z wiercącym się niecierpliwie w oczekiwaniu walki mieczem w dłoni, książę pobiegł wesprzeć coraz słabiej broniących się marynarzy. Moonglum nieustraszenie parł za nim.

Załogantów została już tylko połowa. Oblicza szkarłatnych wojowników rychło jednak zmieniły wyraz z tryumfalnego na zdziwiony, gdy wielki miecz Elryka wykrzyczał swe zawołanie bojowe i rozplątał najbliższego napastnika wraz ze zbroją od głowy aż do żeber.

Najwyraźniej atakujący musieli w tej chwili poznać i przeciwnika, i jego oręż, bowiem o obu krążyło dość legend. Wprawdzie Moonglum też był niezgorszym szermierzem, został jednak zignorowany. Wszyscy napastnicy rzucili się na Elryka wiedząc, że jeśli chcą zwyciężyć, to muszą go pokonać.

W Elryku odezwały się dzikość i okrucieństwo przodków. Miecz zbierał żniwo dusz i bardziej to on prowadził księcia niż odwrotnie. Ludzie padali wkoło krzycząc nie tyle z bólu co z przerażenia, gdy tylko orientowali się, czego właściwie pozbawia ich czarna klinga. Czterech naraz zbliżyło się do Elryka wymachując toporami. Jeden zaraz stracił głowę, drugi rękę, trzeciemu miecz otworzył brzuch, czwartego trafił prosto w serce. Tarkeshiteanie poweseleli widocznie i rzucili się oczyszczać pokład galery z przeciwników.

Wyjąc jak wilk, Elryk złapał jedną z lin zwieszonych z pokładu tryremy i zaczął się po niej wdrapywać.

— Za nim! — krzyknął Moonglum. — To nasza jedyna nadzieja! Ten statek już tonie!

Pokład okrętu bojowego wznosił się w obu kierunkach. Na przedniej nadbudówce widać było odzianą we wspaniałe szkarłaty i błękity postać kapitana, którego twarz mocno już poblądła w reakcji na taki obrót wydarzeń. Spodziewał się łatwego zwycięstwa, a tymczasem wedle wszelkich znaków to on sam stawał się ofiarą.

Zwiastun Burzy zawodził coś tryumfalnie, gdy Elryk przeciskał się w kierunku dowódcy statku. Pozostali wojownicy nie próbowali już go zatrzymać, wszyscy zajęli się prowadzącym załogę Moongludem.

Kapitan zaś, przedstawiciel rządzącej teokracji, z pewnością mógł być trudniejszy do pokonania niż jego ludzie. Już z daleka Elryk dostrzegł dziwny blask otaczający jego zbroję, która najwyraźniej została poddana jakimś magicznym zabiegom.

Co do pozostałych cech, kapitan przypominał zwykłego marynarza — zwalisty, z długą brodą, z czarnymi, złośliwymi oczkami i masywnym, haczykowatym nosem. Uśmiechał się z lekka grubymi wargami, w jednej dłoni ściskając topór a miecz w drugiej, gotów na przywitanie zbliżającego się już Elryka.

Książę ujął runiczny oręż w obie dłonie i zamierzył się na żołądek kapitana, ale ten odskoczył i odparował cios mieczem, kierując jednocześnie topór na niechronioną niczym głowę Elryka. Albinos uchylił się, zachwiał i upadł na pokład. Zaraz odtoczył się na bok, a miecz z hukiem wyrznął w deski tuż obok niego. Zwiastun Burzy z własnej inicjatywy najpierw zablokował ciecie toporem, a następnie rozłupał drzewce broni. Kapitan zaklął, odrzucił pozostały mu w dłoni

kawał drewna i ujął swój miecz w obie ręce. Zwiastun Burzy ponownie zareagował nieco szybciej niż jego pan, docierając do tułowia przeciwnika. Magiczna zbroja powstrzymała go tylko na krótką chwilę, potrzebną rozspiewanemu orężu do zebrania wszystkich sił. Pancerna osłona pękła jak łupina orzecha ukazując nagą pierś kapitana, który zamarł z uniesionymi wciąż do ciosu rękami i oczami rozszerzonymi przerażeniem. Zapominając o swym mieczu przeciwnik rzucił się do tyłu, wbijając wzrok w czarne ostrze, które ostatecznie ugodziło go tuż pod mostkiem i weszło w ciało. Skrzywił się, zaskomlał i upuścił swą broń, ujmując miast niej czarną klingę, która właśnie wchłaniała jego duszę.

— Na Chardrosa... nie... nie... aachhc!

Umarł ze świadomością, że ofiarą diabelskiego oręża padło nie tylko jego ciało, ale i dusza.

Elryk wyszarpnął miecz z trupa i poczuł, jak Zwiastun Burzy przekazuje mu kolejną porcję życiodajnej energii. Wolał nie pamiętać w tej chwili, że im częściej korzysta z miecza, tym bardziej jest od niego zależny.

Na tryemie przy życiu zostali już tylko niewolnicy-wioślarze. Pokład jednak przechylał się niebezpiecznie, bowiem taran okrętu uwiązał w burcie tonącej galerii.

— Przeciąć liny abordażowe i cała w tył! Szybko! — krzyknął Elryk. Rozumiejący sytuację marynarze rzucili się wykonać polecenia. Niewolnicy natarli na wiosła i taran wycofał się pomału z jękiem łamanego drewna. Liny przecięto i skazana na zagładę galera zaczęła się z wolna oddalać.

Elryk policzył ocalałych. Z załogi przeciwników zginęła ponad połowa, w tym i kapitan. Książę przyjrzał się niewolnikom.

— Jeśli chcecie być wolni, to wiosłujcie dobrze. Płyniemy do Dhakos — zawołał. Słońce prawie już zaszło, ale skoro to on teraz dowodził, to mogli płynąć i nocą, nawigując według gwiazd.

— Czemu dajesz im wolność? — spytał Moonglum nieufnie. — Nie lepiej sprzedać ich w Dhakos? Przynajmniej zarobimy na całej tej awanturze.

Elryk zachnął się.

— Tak postanowiłem i tak będzie. Uwalniam ich, Moonglumie.

Rudowłosa westchnął i poszedł przypilnować, by wyrzucono za burtę zabitych i rannych. Uznał, że nigdy nie zrozumie albinosa. Może zresztą lepiej, żeby tak już zostało...

W ten sposób Elryk przybył do Dhakos z rozgłosem, podczas gdy pierwotnie zamierzał wemknąć się do miasta cichcem i incognito.

Książę zostawił Moongluma, by zajął się sprzedażą tryemy i następnie rozdzielił pieniądze pomiędzy załogę. Sam zaś naciągnął kaptur i zaczął przepychać się przez tłum w kierunku gospody przy zachodniej bramie miasta.

Rozdział 2

Późną nocą, gdy Moonglum poszedł już spać, Elryk wciąż siedział w tawernie i popijał. Nawet najbardziej zagorzali klienci woleli wyjść, gdy tylko zorientowali się, z kim dzielą lokal. Książę pozostał zatem sam w mrocznym pomieszczeniu oświetlonym jedynie pochodnią umieszczoną przy drzwiach wejściowych, które otworzyły się właśnie. W progu stanął bogato ubrany młody człowiek.

— Poszukuję Białego Wilka — powiedział, przechylając pytająco głowę. Ze względu na panujący półmrok nie mógł wyraźnie zobaczyć Elryka.

— W tych stronach czasem mnie tak nazywają — odparł albinos. — Szukasz Elryka z Melniboné?

— Tak. Mam dla niego wiadomość. — Młodzieniec wszedł do środka. Otu-lił się ciasno płaszczem, bowiem w tawernie było zimno, choć książę tego nie zauważał.

— Jestem hrabia Yolán, zastępca dowódcy straży miejskiej — powiedział aro-gancko mężczyzna, po czym podszedł do stołu Elryka i przyjrzał się z góry albi-nosowi. — Odważny jesteś, przybywając tu tak otwarcie. Czy sądzisz, że miesz-kańcy Jharkoru mają tak krótką pamięć, by zapomnieć już o swoim królu, który zginął w zasadzce niecałe dwa lata temu?

Elryk upił nieco wina.

— Dość tej retoryki, hrabio — rzucił znad pucharu. — Jaka to wiadomość?

Yolan z miejsca zapomniał o dobrych manierach.

— Retoryki, mówisz... Może, ale dla mnie to istotne. Gdybyś nie namówił naszego władcy do bitwy, która złamała potęgę morskich wodzów i twego ludu, król Darmit żyłby do dzisiaj. Czy nie wykorzystasteś czarów, by uciec, zamiast wesprzeć magią ludzi, którzy ci zaufali?

Elryk westchnął.

— Podejrzewam, że nie wysłano cię tu po to, żebyś mnie obrażał. A jeśli chodzi o Dannita, to zginął on na pokładzie swego statku podczas pierwszego ataku na wejście do labiryntu, a nie podczas późniejszej bitwy.

— Najpierw kpisz sobie z mego pytania, a potem sięgasz po kłamstwa, jak na tchórza przystało — warknął Yolán. — Gdyby to było zależne ode mnie, dawno

już zginałbyś od własnego miecza. Słyszałem, że wykazuje on sporą samodzielność w zabijaniu.

Elryk wstał powoli.

— Nudzisz mnie. Gdy będziesz już gotów ze swoim postanieniem, przekaz wiadomość szynkarzowi.

Obszedł stół i skierował się do schodów, ale zatrzymał się, gdy Yolana chwycił go za rękaw.

Trupioblada twarz spojrzała na młodego szlachcica, a szkarłatne oczy rozbłysły niebezpiecznie.

— Nie zwykłem tolerować podobnych poufałości, młodzieńcze.

Ręka Yolana opadła.

— Wybacz mi. Pozwoliłem emocjom wymknąć się spod kontroli, a nie powinienem. Przybywam w dyskretnej dość sprawie. Mam wiadomość od Królowej Yishany. Potrzebuje twojej pomocy.

— Nie udzielam pomocy, podobnie jak nie zwykłem tłumaczyć się z mych czynów — odparł niecierpliwie Elryk. — W przeszłości nieraz zdarzało się, że moja pomoc obracała się przeciwko tym, którzy o nią prosili. Darmit, przyrodni brat twojej monarchini, też tego doświadczył.

— Powtarzasz dosłownie to, co ja powiedziałem królowej, pragnąc ją ostrzec, panie. Niemniej pragnie ona spotkać się z tobą na osobności jeszcze dziś w nocy... — stwierdził ze smutkiem i obejrzał się. — Dodam, że w razie odmowy powinienem cię aresztować.

— Może i tak. — Elryk ponownie skierował się ku schodom. — Powiedz Yishanie, że świtem ruszam dalej. Może złożyć mi wizytę, jeśli tak pilną jest jej potrzeba. — Wszedł na górę, zostawiając ciężko zdumionego Yolana samego w cichej tawernie.

Theleb K'aarna skrzywił się ponuro. Mimo biegłości w czarnej magii, w sprawach miłości był zupełnie nieporadny, a rozciągnięta na futrzanym łożu kobieta dobrze o tym wiedziała. Bawiła ją władza nad mężczyzną, który mógłby zgładzić kochankę prostym zaklęciem. I pewnie zrobiłby to, gdyby nie wynikająca z miłości słabość. Wprawdzie Theleb K'aarna stał wysoko w hierarchii Pan Tangu, królowej nic z jego strony nie groziło i o tym też wiedziała. Co więcej, intuicja podpowiadała jej, że ten mężczyzna, który tak uwielbiał panować nad innymi, również pragnie kogoś, kto dominowałby nad nim i z radością zaspokajała tę jego wstydliwą potrzebę.

Theleb K'aarna patrzył na nią spode łba.

— Jak może pomóc ci ten zaklinacz tam, gdzie ja nie jestem w stanie? — spytał, siadając na łożu i głaszcząc jej upierścienioną stopę. Yishana nie była już najmłodsza ani szczególnie piękna, niemniej jej wysoka postać, ciemne włosy

i zmysłowa twarz potrafiły przyciągać spojrzenie z niemal hipnotyczną siłą. Nie wielu było w stanie oprzeć się jej zaproszeniu.

Królowa nie miała także zbyt słodkiego charakteru. Ponadto nie była też ani sprawiedliwa, ani mądra, ani skłonna do osobistych poświęceń. Historycy nie powiązalıby z jej imieniem niczego szlachetnego. Było w niej jednak coś, co nie pozwalało oceniać władczyni tak samo jak innych. Kto ją poznał, od razu skłonny był wpadać w podziw, a na dodatek podwładni kochali ją. Może było to uczucie bardziej odpowiednie w stosunku do rozkapryszonego dziecka niż do królowej, niemniej miłości tej towarzyszyła lojalność.

Yishana roześmiała się teraz cicho, szyszcząc z czarownika-kochanka.

— Pewnie masz rację, Theleb, ale Elryk to żywa legenda. O nim słyshy się najczęściej, to ostatni taki na świecie. Teraz mam okazję poznać jego prawdziwy charakter, to, o czym inni tylko mogą spekulować.

Theleb K'aarna machnął lekceważąco dłonią i pogładził się po długiej brodzie. Podszedł do stołu z owocami i winem. Nalał dla nich obojga.

— Jeśli znów chcesz wzbudzić we mnie zazdrość, to oczywiście z powodzeniem. Nie ma specjalnej nadziei na pomyślną realizację twoich ambicji. Przewodkowie Elryka byli na poły demonami, jego rasa nie jest ludzką i nie może być oceniana naszą miarą. Dla nas czary to coś, co trzeba zgłębiać latami, co wymaga wielu poświęceń, dla niego zaś to sprawa całkowicie naturalna. Życia może ci nie starczyć, by poznać sekrety księcia Elryka. Cymoril, jego ukochana kuzynka, zginęła od sławnego Zwiastuna Burzy, a przecież ona była tej samej krwi!

— Doceniam twą troskę. — Królowa przyjęła od niechcienia podany jej puchar wina. — Tak czy inaczej, trwać będę przy swoich zamiarach. Ostatecznie, nie można powiedzieć, byś odniósł jakieś specjalne sukcesy w badaniu cytadeli!

— To subtelne kwestie, które muszę zgłębiać szczególnie uważnie!

— No to może intuicja Elryka zwycięży tam, gdzie ty zawiodłeś — uśmiechnęła się, wstała i spojrzała przez okno na niebo, gdzie księżyc w pełni zerkał z góry na wieże Dhakos. — Yolan spóźnia się. Gdyby wszystko poszło dobrze, byłby już tutaj z Elrykiem.

— Źle wybrałaś posłańca. Powinnaś raczej wysłać kóregoś z bliskich przyjaciół Darmita. Yolan najpewniej wyzwiał Elryka na pojedynek i zabił go!

Yishana nie mogła powstrzymać śmiechu.

— Pobożne życzenia brać chciałbyś za prawdę. Powierzyłam to zadanie Yolanowi, bo wiedziałam, że będzie nieuprzejmy dla albinosa i tym samym wzbudzi jego ciekawość. To najodpowiedniejszy człowiek do tej misji.

— A może Elryk to wyczuł?

— Nie jestem zbyt inteligentna, kochany, ale instynkt rzadko mnie zawodzi. Niedługo się przekonamy.

Chwilę później rozległo się dyskretne skrobanie do drzwi i w pokoju pojawiła się służąca.

— Wasza Wysokość, wrócił hrabia Yolan.

— Sam?

Na twarzy Theleba wykwitł uśmiezek, który zniknął, gdy Yishana wstała i opuściła komnatę, by udać się do tawerny.

— Głupia jesteś! — warknął, gdy drzwi zatrzasnęły się za królową. Cisnął puchar na ziemię. W sprawie cytadeli faktycznie spotkało go niepowodzenie, a gdyby Elrykowi rzecz się udała, wówczas czarownik mógłby stracić wszystko, co dotąd zdobył. Theleb zaczął zastanawiać się nad tym intensywnie, starannie rozważając wszelkie okoliczności.

Rozdział 3

Oczy Elryka zadawały kłam wszelkim oznakom zmęczenia, gdy popijając mocne wino wpatrywał się w okno i myślał o przeszłości. Od upadku Imrryru błądził po świecie poszukując celu w życiu, jakiegoś znaczenia swej egzystencji.

Nie udało mu się odnaleźć odpowiedzi w Księdze Martwych Bogów. Nie powiodło mu się w miłości z Shaarillą, bezskrzydłą kobietą z Myyrrhn, nie zapomniał o Cymoril, której postać wracała wciąż w złych snach. Zdarzały mu się jeszcze gorsze zmyry, przedstawiające los, o którym nie śmiał nawet myśleć.

Wciąż powtarzał, że przede wszystkim szuka spokoju, ale nawet spokój śmierci był mu niedostępny. Popadał w coraz bardziej ponury nastrój, gdy nagle ciszę przerwało niegłośnie stukanie do drzwi.

Błyskawicznie podniósł głowę i rozejrzał się uważnie. Stał prosto i odstawił naczynie na stół.

— Wejść! — powiedział, przybrawszy pozę zimnej arogancji.

W drzwiach pojawiła się kobieta w ciemnoczerwonym płaszczu, o rysach trudnych do rozpoznania w mroku. Zamknęła za sobą drzwi i stanęła bez ruchu, milcząc.

Gdy w końcu się odezwała, uczyniła to jakby niepewnie, niemniej w jej głosie pobrzmiwała nuta ironii.

— Siedzisz tak w ciemności, panie Elryku. Myślałam, że zastanę cię śpiącego...

— Spanie, moja damo, jest zajęciem, które nudzi mnie szczególnie. Jeśli jednak przeszkadza ci ciemność, to zapalę pochodnię. — Podszedł do stołu i zdjął pokrowiec z niewielkiej misy wypełnionej węglami. Sięgnął jedną z cienkich szczap i przytknął do żaru, dmuchając lekko. Węgle pojaśniały, a drewno zajęło się płomieniem. Zatkanął pochodnię w uchwycie na ścianie.

Niepewny, chybotliwy blask wypełnił niewielkie pomieszczenie. Kobieta odrzuciła kaptur ukazując ciemną, grubo ciosaną twarz obramowaną masą czarnych włosów. Jej postać mocno kontrastowała ze szczupłym, o głowę wyższym i naznaczonym swoistym pięknem albinosem, który utkwiał w nią niecierpliwy wzrok.

Nie przywykła do takich spojrzeń i niejaka odmiana sprawiła jej nawet przy-

jemność.

— Wysłałeś po mnie, panie Elryku, i jak widzisz, przybyłam. — Dygnęła w parodii uprzejmości.

— Królowa Yishana — skwitował to Elryk, oddając jej ukłon. Teraz, stojąc naprzeciwko księcia, kobieta wyczuwała jego siłę, która zapewne przyciągała innych bardziej niż jej osobisty urok. Na dodatek nic nie sugerowało, by królowa zdołała zrobić na Elryku jakiegokolwiek wrażenie. Pomyślała, że spotkanie, które widziała już interesującym, może się nagle zamienić źródło frustracji, ale i ta perspektywa ją rozbawiła.

Elryk z kolei, pomimo postanowień, zaczynał być zaintrygowany tą kobietą. Skryte gdzieś głęboko emocje usiłowały podpowiadać, że Yishana może być tą, która przywróci je do życia. Ta perspektywa poruszyła i zarazem zaniepokoiła księcia najbardziej.

Odprężył się trochę i wzruszył ramionami.

— Twoja sława, królowo, sięga daleko poza Jharkor. Usiądź, jeśli chcesz. — Wskazał na ławę, sam zaś zajął brzeg łóżka.

— Jesteś bardziej uprzejmy niż przypuszczałam — uśmiechnęła się, siadając, krzyżując nogi i zakładając ręce na piersi. — Czy twoje zaproszenie oznacza, że zamierzasz wysłuchać mojej propozycji?

Elryk też się uśmiechnął, i to osobliwie, bo chociaż nieco krzywo, to jednak bez zwykłego dlań zgorzknienia.

— Chyba tak. Nie jesteś zwykłą kobietą. Gdybym nie wiedział, jak jest naprawdę, mógłbym przypuszczać, że masz w żyłach melnibonéańską krew.

— Nie wszystkie Młode Królestwa są tak parweniuszowskie jak sądzisz, mój panie.

— Być może.

— Nareszcie mam okazję spotkać się z tobą twarzą w twarz. Trochę trudno mi uwierzyć w prawdziwość co mroczniejszych fragmentów legend krążących o tobie. — Przechyliła głowę na bok i uważnie przyjrzała się rozmówcy. — Wydaje mi się, że te opowieści znacznie ujmują ci subtelności.

— Tak to bywa z legendami.

— Ach — wyszeptała — jaką to moglibyśmy razem być potęgą, ty i ja. . .

— Podobne spekulacje wydają mi się w złym guście, królowo. Po co właściwie tu przysłaś?

— Dobrze zatem, przejdę do rzeczy. Chociaż szczerze mówiąc nie oczekiwałam, że zechcesz mnie wysłuchać.

— Wysłucham, ale niczego więcej nie obiecuję.

— Myślę, że ta historia chyba nawet dla ciebie będzie nowością.

Zgodnie z przewidywaniami Yishany, coraz bardziej zaintrygowany Elryk pilnie nastawił ucha. . .

Kilkanaście miesięcy temu mieszkaniec prowincji Gharavian zaczął rozsiewać pogłoski o jakichś tajemniczych jeźdźcach, którzy uprowadzali z wiosek młodych mężczyzn i kobiety.

Podejrzewając, że może to być sprawka zwykłych bandytów, Yishana wysłała oddział swoich Białych Leopardów, elity wojowników Jharkoru, by położyli kres tej niecnej działalności.

Żaden z nich nie wrócił. Druga ekspedycja nie znalazła nawet ich śladu, nie-
mniej w dolinie w pobliżu miasta Thokora natrafiła na osobliwą cytadelę. Jej opi-
sy brzmiały dość chaotycznie i niepokojąco. Podejrzewając, że to w niej kryje
się tajemnica zaginięcia poprzedniego oddziału, dowódca zachował się rozsądnie
i pozostawił jedynie kilku ludzi, by dyskretnie obserwowali cytadelę i jak najprę-
dziej meldowali w Dhakos, gdyby coś się działo. Jedno było pewne: jeszcze kilka
miesięcy wcześniej żadnej podobnej budowli w tym miejscu nie było.

Yishana i Theleb K'aarna poprowadzili do doliny znaczne siły. Pozostawie-
ni uprzednio obserwatorzy zniknęli, a Theleb ledwo ujrawszy cytadelę, zaczął
odradzać Yishanie atak.

— To był wspaniały widok, panie Elryku — ciągnęła Yishana. — Cytadela
mieniała się wszystkimi kolorami tęczy, które zmieniały się nieustannie. Cała bu-
dowla wyglądała jak nierzeczywista, czasem rysowała się jasno i wyraźnie, chwi-
lami była zamglona, jakby zamierzała zniknąć. Theleb stwierdził, że to sprawa
czarów i nie mam powodów, by mu nie wierzyć. Powiedział, że to dzieło wład-
ców Królestwa Chaosu i chyba mówił prawdę.

Królowa wstała i rozłożyła ręce.

— Nie przywykliśmy w tych stronach do nazbyt częstego czarowania na więk-
szą skalę. Theleb ma wprawdzie z tym nieco wspólnego, ostatecznie pochodzi
z Miasta Krzyczących Posągów na Pan Tang i wiele już widział, ale nawet na nim
zrobiło to wrażenie.

— Więc się wycofaliście — wtrącił niecierpliwie Elryk.

— Mieliśmy już taki zamiar. W rzeczy samej, Theleb i ja jechaliśmy już
z powrotem na czele armii, gdy rozległa się ta muzyka... Była piękna, słodka,
nieziemiska i pełna cierpienia. Theleb krzyknął do mnie, bym uciekała jak naj-
szybciej. Zauroczona muzyką nie posłuchałam, ale on pogonił mego konia i ucie-
kliśmy galopem szybszym niż lot smoka. Ci, którzy byli blisko nas, też zdołali
umknąć, ale widziałam, jak reszta zawraca ku cytadeli. Prawie dwustu ludzi po-
szło tam i już nie wróciło.

— Co wtedy uczyniliście? — spytał Elryk, gdy Yishana przeszła przez pokój
i usiadła obok. Posunął się, żeby zrobić jej miejsce.

— Theleb K'aarna próbował zgłębić naturę tajemniczej budowli, szczególnie
chciał wiedzieć, czemu służy i kto nad nią panuje. Jak dotąd niewiele nam z tego
przyszło, mój czarnoksiężnik domyśla się jedynie, że Królestwo Chaosu przysłało
cytadelę na Ziemię, by powoli zagarniała nasze tereny. Na dodatek coraz więcej

młodych mężczyzn i kobiet jest porywanych przez sługi Chaosu.

— A jacy to słudzy? — Yishana przysunęła się całkiem blisko, lecz tym razem Elryk nie zmienił miejsca.

— Jak dotąd nikomu nie udało się ich zatrzymać. Niewielu też przeżyło podobne próby.

— Czego zatem chcesz ode mnie?

— Pomocy. — Spojrzała mu z bliska w oczy i wyciągnęła dłoń, by dotknąć jego twarzy. — Wiesz niejedno zarówno o Chaosie jak i Ładzie, posiadasz nie tylko dawną wiedzę, ale i niezawodny instynkt. Przynajmniej tak mówi Theleb K'aarna. A poza tym, Bogowie Chaosu są twoimi bogami. . .

— To akurat jest prawdą. Ponieważ jednak moim patronem jest właśnie jeden z Bogów Chaosu, nie pragnę walki z którymkolwiek z nich.

Z uśmiechem przysunął się do kobiety i spojrzał jej w oczy. Nagle wziął ją w ramiona.

— Mam nadzieję, że starczy ci siły — powiedział tajemniczo, nim ich usta się zetknęły. — A jeśli chodzi o resztę, to jeszcze porozmawiamy.

W głębokiej zieleni mrocznego zwierciadła Theleb K'aarna widział co nieco ze scen rozgrywających się na piętrze gospody i gryzł teraz bezsilnie palce. Ciągnął nerwowo za brodę, gdy obraz zniknął po raz dziesiąty w ciągu minuty i pomimo mamrotania różnych zaklęć nie powrócił. Usiadł więc w fotelu z węzowych czaszek i w jego głowie z wolna zaczęła się rodzić myśl o zemście. Postanowił, że nie będzie ona zbyt rychła. Póki co Elryk może przydać się w sprawie cytadeli, więc nie należało niszczyć go przedwcześnie. . .

Rozdział 4

Następnego popołudnia trzech jeźdźców wyruszyło ze stolicy do miasta Thokora. Elryk i Yishana jechali razem, chmurny Theleb K'aarna podążał nieco z tyłu. Jeśli nawet książę czuł się zakłopotany tym pokazem niezadowolenia ze strony czarownika, to nie dał tego poznać po sobie.

Uznawszy Yishanę za osobę o wiele bardziej interesującą, niżby na pozór się wydawało, pomimo wcześniejszych postanowień Elryk zgodził się przynajmniej rzucić okiem na cytadelę i ewentualnie doradzić jakiś sposób uporania się z problemem. Przed wyjazdem zamienił tylko kilka słów z Moonglumem.

Jechali przez przepiękne łąki Jharkoru leniwie złocące się pod palącym słońcem. Droga potrwać miała dwa dni i Elryk zamierzał dobrze wykorzystać ten czas.

Nadal czuł się paskudnie, będąc jednak w lepszym niż ostatnio nastroju zaśmiewał się w rozmowie z Yishana. Im bardziej jednak zbliżali się do tajemniczej twierdzy, tym silniej dawały o sobie znać ponure przeczucia. Na dodatek coraz częściej zdarzało się, że Theleb K'aarna spoglądał na księcia z dziwną satysfakcją.

Niekiedy Elryk zwracał się bezpośrednio do czarownika.

— Hej, tyyyy! Czarodzieju! Nie czujesz tego piękna wkoło? Nie lepsze to niż dworskie obowiązki? Co się tak krzywisz, Theleb, oddychaj głęboko czystym powietrzem i pośmiej się z nami!

W takich chwilach K'aarna mrucał coś syczącego pod nosem, a Yishana śmiała się zeń, spoglądając porozumiewawczo na Elryka.

W ogólnie miłym nastroju dotarli do Thokory.

Miasto leżało w zgliszczach. Spalone ruiny śmierdziały jak śmietnisko piekieł.

Elryk ostrożnie wciągnął powietrze.

— To robota Chaosu. Co do tego miałeś rację, Thelebie. Jakikolwiek ogień zniszczył to wielkie miasto, nie był to naturalny pożar. Ten, kto jest za to odpowiedzialny, bez wątpienia rośnie w siłę. Moc Władców Ładu i Chaosu, jak wiecie, zwykle się równoważy, rzadko też kieruje się bezpośrednio ku Ziemi, ale tym razem najwyraźniej zdarzyło się inaczej i Chaos zdobył przewagę. Nie jest rzeczą

trudną dla czarownika wezwać na chwilę wsparcie którejś ze stron, jednak tak stałe zjawisko, jak cytadela, to unikat. Najgorsze zaś jest to, że jeśli raz wpuści się taką siłę, wówczas trudno się jej pozbyć. W pierwszym rzędzie dotyczy to was, mieszkańców Młodych Królestw, ale z czasem Chaos może podbić całą Ziemię.

— Straszna perspektywa — mruknął czarownik, naprawdę wystraszony. Wprawdzie wzywał czasem Władców Chaosu na pomoc, ale dobrze wiedział, że dłuższe kontakty ludzi z tymi mocami są co najmniej niewskazane.

Elryk wspiął się z powrotem na siodło.

— Trzeba jechać do doliny. I to szybko — powiedział.

— Czy to mądrze, biorąc pod uwagę, co właśnie ujrzeliśmy? — spytał zdenerwowany Theleb K'aarna.

Elryk roześmiał się.

— Co? I ty to mówisz, czarownik z Pan Tangu, wyspy bardziej podobno prześląkniętej czarami, niż domy mych przodków? Może i niemądrze, ale nie jestem dziś w nastroju do zachowywania ostrożności!

— Ani ja — dodała Yishana, poklepując wierzchowca. — Dalej, panowie, do Cytadeli Chaosu!

Późnym popołudniem dotarli do grani linii wzgórz i spojrzeli w dolinę, gdzie znajdowała się tajemnicza cytadela.

Yishana dobrze ją opisała, ale to i owo opuściła. Widok aż raził oczy albinosa, bowiem budowla wyraźnie rozciągała się jeszcze na kilka wymiarów poza Ziemią.

Lśniła przy tym i błyszczała kolorami zarówno ziemskimi jak i należącymi do innych przestrzeni. Nawet zasadniczy zarys twierdzy był niestały i silnie kontrastował z doliną, która zamieniła się w morze ciemnych, nieustannie poruszających się popiołów, tu i ówdzie strzelających suchymi gejerami. Wyglądało na to, że obecność cytadeli zaburzyła naturalny porządek rzeczy i odmieniła prawa rządzące materią.

— No i co? — spytał Theleb K'aarna, gdy oddalali się już od doliny. — Wdziałeś kiedyś coś takiego?

Elryk potrząsnął głową.

— W tym świecie nie, ale w ogóle, to owszem. Podczas ostatniej inicjacji ojciec zabrał mnie w astralną podróż do Królestw Chaosu. Studiowałem wtedy sztuki Melniboné. Zostaliśmy wówczas przyjęci na audiencji u mego patrona, Lorda Ariocho, władcy Siedmiu Mroczności. . .

Theleb K'aarna aż zadrżał.

— Byłeś w Królestwach Chaosu? A może to cytadela Ariocho?

Elryk roześmiał się z pogardą.

— Też coś! W porównaniu z pałacami Władców Chaosu to ledwie szopa!

— No ale kto nią rządzi? — spytała niecierpliwie Yishana.

— O ile pamiętam, w czasach mojej młodości cytadelą nie zarządzili bezpośrednio Władcy Chaosu, ale jeden z ich sług. Może zresztą niedokładnie sługa. . .

— Ach! Zaczynasz mówić samymi zagadkami — stwierdził Theleb K'aarna zjeżdżając ze wzgórza. — Znam was, Melnibonéaninów! Nawet głodni, wciąż strzępicie języki, miast poszukać stawy!

Elryk i Yishana jechali parę kroków za nim, gdy nagle księżę zatrzymał się i wskazał za siebie.

— Ten, który tu panuje, to osobliwa postać, pełna sprzeczności. Jest jakby błaznem na Dworze Chaosu. Mroczni Władcy poważają go, może nawet nieco boją, chociaż bawi ich kosmicznymi rebusami, wyśmiewa Dłoń, która trzyma szalki Kosmicznej Wagi, sypie zagadkami. . . Kpi z tego, co Władcy Chaosu miłują, bierze serio rzeczy, z których szydzą. . . — Umilkł na chwilę i wzruszył ramionami. — Tyle przynajmniej słyszałem.

— A co on ma tutaj do roboty?

— A co ma do roboty gdzie indziej? Zwykle udaje mi się przeniknąć motywy działań Chaosu i Ładu, ale nawet władcy owych światów zwykle nie są w stanie przeniknąć myśli Błazna Bało. Podobno jemu jednemu wolno poruszać się wedle woli pomiędzy Królestwami Ładu i Chaosu, chociaż nigdy nie słyszałem, by nawiedzał kiedyś Ziemię. Nigdy również nie dotarło do mnie, by ktokolwiek podejrzewał go o aż tak niszczycielskie skłonności. . . To jedna wielka zagadka. . . Pewnie bardzo by mu się zresztą spodobała, gdyby wiedział, że się nad nią głowię.

— Jeden jest tylko sposób, by dowiedzieć się, o co mu chodzi — uśmiechnął się błado Theleb K'aarna. — Gdyby ktoś poszedł do cytadeli. . .

— Sam sobie idź, czarowniku! — warknął Elryk. — Może nie cenię przesadnie swego życia, ale na paru rzeczach mi zależy. Na mojej duszy, na przykład!

Theleb ruszył dalej, Elryk wciąż jednak nie ruszał się z miejsca. Yishana trwała przy nim.

— Wyglądasz na osobliwie zaniepokojonego, Elryku — powiedziała.

— Bo to jest niepokojące. Istnieje niebezpieczeństwo, że jeśli weźmiemy się na serio za badanie cytadeli, to wówczas możemy zostać uwikłani w jakiś spór pomiędzy Bało a jego panami, a może nawet i Władcami Ładu. Takie mieszanie się w ich sprawy może skończyć się dla śmiertelników raczej tylko w jeden sposób. Nie należy wchodzić pomiędzy szpady aż tak potężnych szermierzy. . .

— Ale nie możemy też spokojnie stać i patrzeć, jak Bało pustoszy nasze miasta i zagarnia coraz większy obszar Jharkoru!

Elryk westchnął, ale nie odpowiedział.

— Nie znasz jakichś czarów, by odesłać Bało, skąd przyszedł i załatać dziurę, którą wniknął do naszego wymiaru?

— Nawet Melnibonéanin nie może się równać siłą z Władcami Dawnych Światów, a na dodatek moja wiedza to tylko ułamek umiejętności przodków. Moi najważniejsi sojusznicy nie służą ani Ładowi, ani Chaosowi. To pierwiastki ognia, ziemi, powietrza i wody, to ucieleśnienia zwierząt i roślin. Są dobrymi sprzymierzeńcami w normalnej bitwie, ale mały byłby z nich pożytek, gdyby przyszło

potykać się z tym diabelskim błaznem. Muszę pomyśleć. . . Ostatecznie, gdybym przeciwstawił się Bało, może nie wywołałbym gniewu moich patronów.

Wzgórza przechodziły powoli w ciągnącą się aż po horyzont trawiastą równinę. Słońce lśniło na czystym niebie, na którym kołowały drapieżne ptaki. W oddali widniała drobna postać czarownika. Właśnie obrócił się w siodle i wołał coś, ale jego słowa nie dolatywały do Elryka.

Yishana wyglądała na przygnębioną. Zgarbiła się nieco i z opuszczoną głową skierowała konia w dół, ku Thelebowi. Elryk ruszył za nią świadom swego niezdecydowania, jednak niezbyt tym przejęty. Ostatecznie, cóż mogło go to wszystko obchodzić, jeśli. . .

Rozległa się muzyka. Z początku ledwie słyszalna, wypełniona jednak słodyczą. Przywoływała nostalgiczne wspomnienia, obiecywała spokój i jednocześnie nadawała życiu nowy sens. Jeśli nawet dźwięki te płynęły z jakichś instrumentów, to nie były one ziemskie. Elryk poczuł, jak muzyka przyciąga go, skłania, by zawrócić konia. Wiedział już, skąd dobiega i bez trudu oparł się jej czarowi. Yishana jednak najwyraźniej nie była na nią odporna. Z rozpromienioną twarzą obróciła się w miejscu. Usta jej drżały, łzy płynęły z oczu.

Elryk słyszał już taką muzykę podczas wędrówek po nieziemskich wymiarach, wiele jej motywów znalazło odbicie w symfoniach starego Melniboné. Yishana jednak znalazła się w niebezpieczeństwie. Ruszyła już z powrotem, mijając księcia, który usiłował uchwycić cugle jej konia.

Puścił je z przekleństwem, otrzymawszy niespodziewane uderzenie batem. Królowa pogalopowała na grzbiet wzgórze i błyskawicznie zniknęła po drugiej stronie.

— Yishana! — krzyknął za nią w rozpacz, ale jego głos nie przedarł się przez pulsującą muzykę. Obejrzał się z nadzieją na Theleba, ale czarownik spieszenie oddalał się. Najwyraźniej wystarczyły mu pierwsze dźwięki, by zrozumieć niebezpieczeństwo i zrezygnować z wysłuchania koncertu.

Elryk pogonił za Yishana. Wciąż krzyczał, by zawróciła, ale gdy dotarł na grzbiet wzgórze, ujrzał ją pochyloną w pędzie nad końskim karkiem i gnającą ku lśniącej cytadeli.

— Yishano! To pewna śmierć!

Dotarła już do zewnętrznych granic przemienionego przez twierdzą terenu. Kopyta konia zagłębiły się w pył, wywołując rozchodzące się wkoło kolorowe fale. Książę wiedział już, że zbyt późno dla niej na ratunek, ale nic powściągał wodzów mając wciąż nadzieję, że dogoni Yishanę zanim ta zniknie we wnętrzu.

Gdy dotarł do spustoszonego pola, ujrzał z dwanaście Yishan wjeżdżających przez tuzin bram do cytadeli. Osobliwie załamujące się światło całkowicie myliło wzrok nie pozwalając ustalić, gdzie naprawdę jest królowa.

Wraz z jej zniknięciem muzyka urwała się. Elrykowi wydało się, że zaraz potem dobiegł go jeszcze słaby śmiech, ale całą uwagę musiał skupić na coraz

bardziej spanikowanym koniu. Zsiadł, zapadając się po kostki w lśniącym pyłe i puścił zwierzę wolno. Uciekło, rżąc przeraźliwie.

Sięgnął po miecz, ale zawahał się i nie dobył broni. To diabelskie ostrze raz uwolnione z pochwy, domagać się będzie dusz i nie pozwoli schować się bez zdobyczy. Innej broni jednak nie miał. Cofnął dłoń, a Zwiastun Burzy zadrżał gniewnie.

— Jeszcze nie teraz, mój drogi. Tutaj możemy natknąć się na siły przerastające nawet twoje możliwości!

Albinos brodził powoli w wirującym pyłe na wpeł oślepiiony migoczącymi barwami. Granat, srebro, czerwień, złoto, jasna zieleń, bursztyn... Brak możliwości wyczucia kierunku i odległości zaczął wywoływać mdłości. Elryk przypomniał sobie, czego doświadczył niegdyś w astralnej formie, nie znający normalnych, ziemskich wymiarów, dla której również nie istniał czas. Był to stan typowy dla Królestw Dawnych Światów.

Książę przemieszczał się z wolna ku miejscu, gdzie zniknęła Yishana i miał nadzieję jedynie, że jeszcze nie pobłądził. Wszystkie lustrzane obrazy zniknęły, brama zresztą też.

Pojął w końcu, że jeśli nie chce zginąć z wyczerpania w nieskończonym marszu, musi dobyć Zwiastuna Burzy, bowiem miecz potrafił się oprzeć mirażom Chaosu.

Tym razem, dotknąwszy rękojeści, poczuł nagły przyptyw sił. Ostrze wysunęło się z pochwy. Czarna, pokryta dawnymi runami klinga rozjarzyła się mrocznym blaskiem, przy którym bledły i znikały barwy Chaosu.

Elryk wykrzyczał pradawne zawołanie bojowe swego ludu i pomaszerował w kierunku cytadeli, tnąc po drodze na odlew wijące się po bokach zjawy. Wiedział już, że brama jest na wprost, bowiem miecz dokładnie pokazywał, co jest prawdą, a co złudzeniem. Była otwarta. Książę zatrzymał się na chwilę w progu i po cichu przypomniał sobie kilka zaklęć, które mogły mu się rychło przydać. Patronujący mu bóg-demon był potęgą kapryśną i niepewną, więc trudno było liczyć nań w tej sytuacji, chyba żeby...

Wiodącym od wejścia korytarzem wielkimi, wdzięcznymi susami zbliżała się złocista bestia z rubinowo-ognistymi oczami, które choć lśniące, wydawały się ślepe. Wielka, przypominająca psią mordą pozostawała zamknięta. Stwór zagradzał Elrykowi jedyną drogę, książę nie miał zatem wyboru. Gdy zbliżył się do potwora, ten rozwarł nagle paszczę, ukazując koralowe zębiska. Stali tak przez chwilę obaj w ciszy, a ślepe oczy ani razu nie spojrzały na albinosa. Nagle bestia skoczyła!

Elryk cofnął się, unosząc miecz, ale sama waga monstrum powaliła go na ziemię. Cielsko było bardzo zimne. Napastnik nawet nie usiłował uczynić cokolwiek, leżał tylko, jakby chciał zamrozić ofiarę.

Elryk zaczął trząść się z zimna. Napał na cielsko. Zwiastun Burzy mamrotał

coś gniewnie, aż w końcu odrąbał płat ciała bestii i potworna zaiste siła napłynęła w ramię księcia. Tak wzmocniony, wyzwolił się z pułapki. Lodowata istota nadal napierała na niego, teraz jednak zawodząc z cicha. Najwyraźniej rana dawała się jej we znaki.

Zdesperowany za sprawą coraz bardziej siarczystego mrozu, Elryk ciął znowu. Bestia po raz kolejny zakwiliła i znów prąd chłodnej energii przeniknął ramię księcia. Potwór cofnął się w kierunku portalu. Albinos skoczył na przeciwnika i zebrawszy wszystkie siły zadał cios w głowę. Czaszka pękła niczym lodowa bryła.

Elryk pobiegł korytarzem w głąb cytadeli. Ciszę przerywały krzyki i jęki, wzmocniane jeszcze odbijającym się od sklepienia echem. Wyglądało na to, że lodowej bestii nie czekała wcale łatwa śmierć.

Podłoga podnosiła się, przechodząc w spiralną rampę. Spojrzawszy w dół, Elryk zdrzął, ujrzał bowiem bezdenną otchłań subtelnych, niebezpiecznie przyciągających kolorów. Ledwie zdołał oderwać od nich wzrok. Mocniej ścisnąwszy miecz ruszył wyżej.

Było tam to samo co w dole, czyli migotliwa otchłań. Jedyne stały element stanowiła rampa, coraz bardziej zresztą przypominająca cienko rżnięty, przezroczysty kryształ.

Wokół dominowały błękity i żółcie oznaczone śladami ciemnej czerwieni, czerni i oranżu, jak i wielu innych, niedostrzegalnych dla ludzkiego oka kolorów.

Elryk wiedział, że znajduje się w którejś z prowincji Dawnych Królestw i że wijąca się w górę rampa z pewnością zaprowadzi go w jakiś niezbyt bezpieczny zakątek.

W końcu dotarł na szczyt. Przerzucony nad barwną otchłanią most wiódł ku spowitej błękitnym blaskiem bramie. Wokół nic nie wróżyło niebezpieczeństwa.

Ostrożnie przemierzył most i wszedł pod sklepienie przejście. Wszystko było tu błękitne, nawet jego postać nabrała niebieskawych odcieni. Im dalej szedł, tym błękit stawał się głębszy.

Nagle Zwiastun Burzy zaczął pomrukiwać. Po części ostrzeżony przez miecz, a po części przez swój szósty zmysł, Elryk skręcił w prawo, gdzie widniało następne przejście, tym razem pograżone w ciemnoczerwonym blasku. Przystanął na chwilę, by przyrzeć się bogactwu barw w miejscu zetknięcia się obu korytarzy i stwierdził, że tutaj kolory potrafią przyciągać, podobnie jak te w otchłani. Zmusił się do marszu. Kolejny, zielony korytarz pojawił się po lewej, następny, też z lewej, był żółty, inny jeszcze fiołkoworóżowy, aż w końcu Elryk znalazł się uwięziony pomiędzy dziesiątkami różnobarwnych promieni. Ciął je mieczem i czarne promieniowanie zmieniło na chwilę wszystkie barwy w zwykłe światło.

W tęczowym chaosie zamajaczyła jakaś postać. Elrykowi wydało się, że rozpoznaje sylwetkę mężczyzny, przynajmniej z kształtu, bo nie z rozmiarów. Podszedł bliżej. Nie, nie był to gigant, w rzeczywistości postać była niższa nawet od

księcia. Książę wciąż jednak odnosi wrażenie, że widzi kogoś o zakłóconych proporcjach ciała. Zupełnie, jakby zjawą naprawdę była gigantem, a Elryk po prostu dorósł do jej rozmiarów.

Widziadło ruszyło w kierunku Elryka i przeszło przez niego. Na pewno nie było to całkowite złudzenie, bowiem książę wyraźnie wyczuł ducha, którego ciało wydawało się nieprawdopodobnie gęste. Istota zatrzymała się, obróciła i wyciągnęła ręce. Na jej twarzy malował się szyderczy grymas. Elryk machnął mieczem, który ku jego zdumieniu zatrzymał się bez wyraźnych skutków na cielsku stwora.

Ten spróbował uchwycić księcia, jednak jego dłonie przeszły na wylot przez albinosa, który odetchnął z ulgą. Potem z przerażeniem ujrzał, jak sam zaczyna przeświecać z lekka. Owszem, najwyraźniej ktoś rzeczywiście był tu duchem i wszystko wskazywało na osobę Elryka!

Istota po raz kolejny spróbowała go złapać. Znow bez powodzenia.

Pewny już, że monstrum nie zagraża mu przynajmniej fizycznie, jak i świadom tego, że obecna sytuacja doprowadzić może go do szaleństwa, Elryk po prostu obrócił się i rzucił do ucieczki.

Zupełnie niespodziewanie znalazł się w wielkiej sali, której ściany mieniły się niestałymi kolorami. Pośrodku siedziała niewielka postać z jakimiś małymi stworzonkami krążącymi jej po dłoni. Istota spojrzała na Elryka i uśmiechnęła się serdecznie.

— Witaj, Królu Melniboné! Jak radzi sobie ostatni władca mej ukochanej ziemskiej rasy?

Postać miała na sobie pobłyskujący strój błazeński, a na głowie wysoką koronę ze spiczastymi liśćmi, stanowiącą wyraźną trawestację i kpinę z koron prawdziwych, potężnych władców. Oblicze istoty było jakby kanciaste, szerokouste.

— Witaj, lordzie Bało — Elryk skłonił się od niechcenia. — Osobliwie zwykłeś przyjmować swoich gości.

— A co, źle się bawiłeś? Nie sądzisz, że ludzi jednak o wiele trudniej jest zadowolić niż bogów?

— Nasze rozrywki rzadko są tak wyrafinowane. Gdzie jest królowa Yishana?

— Za pozwoleniem, niech i ja mam swoje przyjemności, śmiertelniku. Tu ją mam. — Bało wskazał na jedno ze stworzeń siedzących na jego dłoni. Elryk podszedł bliżej i zaiste ujrzał Yishanę, jak i wielu spośród zaginionych żołnierzy. Bało spojrzał na niego i mrugnął. — Przy tych rozmiarach łatwiej ich upilnować.

— Bez wątplenia, chociaż zastanawiam się, czy to my zrobiliśmy się więksi, czy też oni mniejsi...

— Bystry jesteś, śmiertelniku. A może powiesz jeszcze, jak na to wpadłeś?

— Widziałem twoje twory po drodze. Istoty, studnie i kolory, wszystkie coś zniekształcały, ale co właściwie...

— Masę, królu Elryku! Ale tego do końca byś nie zrozumiał. Nawet władcy Melniboné, którzy bardziej przypominają bogów niż ludzi, nauczyli się ledwie

z wierzchu naruszać strukturę pierwiastków. Zнали rytuały, zaklęcia i czary, ale nigdy nie rozumieli, co naprawdę czynią. I tym się różniemy.

— Ale ja dotarłem tutaj bez czarów. Wystarczyło zdyscyplinowanie umysłu.

— Owszem, to pomaga, ale zapominasz o swym największym atucie, o mieczu. Tak naprawdę, to używasz go do rozwiązywania błahostek. Zupełnie, jakby ktoś wysyłał wielką galeryę wojenną po to tylko, by złapać szprotkę. Ten miecz zachowuje swą potęgę w każdym wymiarze, królu Elryku, dosłownie w każdym!

— Tak, to możliwe. Ale nie to mnie teraz interesuje. Czemu właściwie tu się znalazłeś, lordzie Bało?

Błazen zachichotał śmiechem perlistym i melodyjnym.

— Och, popadłem w niełaskę. Pokłóciłem się z moimi panami, którzy wzięli na poważnie jeden z moich żartów na temat bezsensu ich istnienia, egotyzmu, przeznaczenia i dumy. Odrzucają wszystko, co nie stawia ich na ołtarzach. Zatem i ja splatałem im figla i uciekłem na Ziemię, gdzie oni, władcy Ładu i Chaosu, rzadko zaglądną, chyba że ich ktoś zawoła. Z pewnością uznasz mój pomysł za wyśmienity, Elryku, zresztą, każdy Melnibonéanin doceniłby go. Zamierzam ustanowić tu me własne królestwo. Królestwo Paradoksu. Trochę z Ładu, trochę z Chaosu, ot, taką krainę przeciwieństw i osobliwości. Żart.

— Wydaje mi się, że świat, jaki mi opisujesz, istnieje już od dawna, lordzie Bało. Naprawdę, nie trzeba go tworzyć!

— Dziwnie brzmi ta konia w ustach mieszkańca Melniboné!

— Może. W podobnej chwili nie myślę o dobrych manierach. Uwolnisz Yishanę i mnie?

— Ale ty jesteś gigantem. Obdarowałem cię statusem i wyglądem boga, bo pomyślałem, że możemy zostać partnerami w tym przedsięwzięciu!

— Niestety, lordzie Bało. Nie podzielał twój humor, nie nadaje się do takich egzaltowanych imprez. Poza tym — Elryk skrzywił się nagle — mam wrażenie, że władcy Dawnych Światów nie zaakceptują tak łatwo twoich wybujałych ambicji, które zdają się pozostawać w niejakim konflikcie z ich planami.

Bało roześmiał się, ale nic nie powiedział.

Elryk też zdobył się na uśmiech, który ukryć miał płataninę jego myśli.

— Co zamierzasz uczynić, jeśli odmówię?

— Ależ Elryku, nie zrobisz mi tego! Stać mnie na wiele osobliwych żartów, możesz stać się igraszką w moich rękach. . .

— Zaiste? A Czarny Miecz?

— Ach, tak. . .

— Widzę, Balo, że w obsesyjnej pogoni za uciechami nie przemyślałeś jednak wszystkiego należycie. Winięś włożyć więcej wysiłku w walkę ze mną, gdy tu szedłem.

Oczy Elryka rozgorzały. Uniósł miecz z krzykiem.

— Ariochu! Panie! Wzywam cię, Władco Chaosu!
— Ciszej, królu Elryku! — jęknął Balo.
— Ariochu! Oto jest dusza dla ciebie!
— Ciszej, powiedziałem!
— Ariochu! Wysłuchaj mnie! — krzyczał Elryk w desperacji.
Balo upuścił swe miniaturowe zabawki i wstał, pospieszając ku Elrykowi.
— Nie widzę reakcji na twe wezwania! — roześmiał się, sięgając księcia.
Zwiastun Burzy jęknął jednak i zadrżał w dłoni Elryka, co wystarczyło, by odstraszyć błazna, który spoważniał nagle, zakłopotany.
— Ariochu z Siedmiu Mroczności, twój sługa cię wzywa!
Płomieniste ściany zadrżały i zaczęły błędnąć. Balo rzucał tu i tam niespokojne spojrzenia.
— Och, lordzie Ariochu, przybądź nakierować zbłąkanego Balo na właściwą drogę!
— Nie możesz mi tego zrobić! — błazen podbiegł do tej części komnaty, gdzie płomienie wygaśły już całkowicie, ukazując czającą się pod spodem ciemność.
— Masz pecha, Balo, on jednak może to zrobić... — rozległ się piękny i sardoniczny głos. Z mroku wychynęła szczupła postać, zupełnie inna od tych bezkształtnych potworów, którymi Arioch manifestował się na Ziemi. Piękno przybysza naznaczone było jednocześnie dumą, okrucieństwem i smutkiem, co jasno zdradzało, iż nie jest to człowiek. Miał na sobie kubrak z pulsującego szkarłatu, nogawice niestałej barwy, u pasa dźwigał długi, złocisty miecz. Oczy miał duże, ale lekko przymknięte, włosy równie długie i jasne jak miecz, wargi pełne, a brodę i uszy spiczaste.
— Arioch! — Balo cofnął się gwałtownie.
— Popeliłeś błąd, Balo — powiedział z tyłu Elryk. — Nie wiedziałeś o tym, że Królowie Melniboné mogą przywoływać Ariocha na Ziemię? To nasz pradawny przywilej...
— Którego zresztą często nadużywaliście — powiedział Arioch z uśmiechem. Balo padł na posadzkę. — Tak czy inaczej, Elryku, moja dzisiejsza przysługa powinna sprawić, że zapomnimy o zaszłościach. Mglisty Gigant, na przykład, wcale nie był zabawny.
Elryk wciąż nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia, że Arioch zareagował tak szybko i sprawnie. Ulżyło mu setnie, bowiem wcale nie był pewien swych zaklęć.
Arioch tymczasem podniósł błazna za kołnierz z podłogi i przytrzymał go z nogami nad ziemią. Bało był ciężko przerażony.
Bóg-demon ścisnął jego głowę, która nagle zaczęła się kurczyć. Potem zabrał się za jego kończyny, tak składając i urabiając błazna, aż ten, w jego smukłych, nieludzkich dłoniach, zmienił się w niedużą kulę, którą Arioch zgrabnie wrzucił do ust i połknął.

— Nie zjadłem go, Elryku — powiedział, znów lekko się uśmiechając. — To najlepszy sposób na przeniesienie go z powrotem do miejsca, skąd przybył. Został przekształcony. Kara go nie minie. Wszystko to — wskazał wokół siebie — nijak ma się do planów, jakie Chaos ma wobec Ziemi. W rozważaniach nad porządkiem wszechświata bierzemy pod uwagę również i ciebie, nasz sługo. Uczynimy cię potężnym.

Elryk skłonił się swemu panu.

— Czuję się zaszczycony, lordzie Ariochu, ale nie szukam nagrody.

Głos demona jakby nieco stracił ze swego piękna, a jego twarz zachmurzyła się na chwilę.

— Musisz służyć Chaosowi, takie było też zadanie twoich przodków. Będziesz naszym wiernym poddanym! Zbliża się czas, gdy Ład i Chaos stoczą wielką bitwę, w której stawką będzie Ziemia. I Chaos winien wygrać! Ziemia włączona zostanie do naszego Królestwa, a ty, wreszcie nieśmiertelny, staniesz się jednym z nas!

— Nieśmiertelność niewiele dla mnie znaczy, panie.

— Ach, Elryku, czyżby mieszkańcy Melniboné upodobnili się do tych głupich małp, które budują tu teraz swoją „cywilizację”? Czy nie jesteś wart więcej niż te niedorostki, z Młodych Królestw? Pomyśl tylko, co ci proponujemy!

— Uczynię to, mój panie, gdy nadejdzie czas, o którym mówisz — powiedział Elryk z wciąż opuszczoną głową.

— Z pewnością. — Arioch uniósł ręce. — Teraz pora odstawić Bało, gdzie jego miejsce i uprzątnąć bałagan, którego narobił, przedwcześnie czyniąc szkody naszym przeciwnikom.

Głos Ariocha brzmiał jak śpiew miliona brązowych dzwonów. Elryk schował miecz i przyłożył dłoń do obolałych uszu.

Nagle poczuł, jak jego ciało puchnie, rozpościera się i rozwiewa w dym, który zaraz też zaczął gęstnieć. Wkoło migotała feeria kolorów, rozlegały się niesamowite hałasy. Ogarnęła go ciemność. Zamknął oczy przed obrazami majaczącymi w mroku.

Gdy znów je otworzył, stał w pustej dolinie. Śpiewająca cytadela zniknęła, w pobliżu widać było tylko Yishanę i kilku nad wyraz zdumionych żołnierzy. Królowa podbiegła do niego.

— Elryku, czy to ty nas uratowałeś?

— Nie przeczę, miałem w tym swój udział.

— Brakuje wielu wojowników. I wieśniaków, których porwano wcześniej. Gdzie oni są?

— O ile smak Bało podobny jest jego manierom, to obawiam się, że stali się częścią tego półboga. Władcy Chaosu nie pożerają wprawdzie ciała, ale gustują w ludziach z innych powodów. . .

Yishana zadrzała.

— Ale on był wielki... Nie do wiary, że ta diabelska budowla mogła pomieścić takie cielsko!

— Cytadela nie była zwykłą twierdzą, to oczywiste. Zmieniała rozmiary, kształty i jeszcze inne rzeczy, których nie potrafię opisać. Arioch zabrał ją jak i Bało ze sobą.

— Arioch! Ależ to jeden z Wielkiej Szóstki! Skąd on wziął się na Ziemi?

— Stary pakt z moimi przodkami. Wezwany, może spędzić niedługi czas w naszym wymiarze. Odpłaca za to różnymi przysługami. Ale to już za nami.

— Chodź, Elryku — królowa wzięła go pod ramię. — Odejdźmy z tej doliny.

Elryk czuł się słabo, wyczerpany wysiłkiem wzywania Ariocha oraz wcześniejszymi przeżyciami. Ledwie mógł zrobić parę kroków i musiał wesprzeć się na Yishanie. Zdumieni wojownicy podążyli z wolna ich śladem ku najbliższej wiosce, gdzie mogli zdobyć konie, by wrócić na nich do Dhakos.

Rozdział 5

Gdy mijali wypalone ruiny Thokary, Yishana wskazała nagle na niebo.

— Co to jest?

W górze kołowało jakieś latające stworzenie przypominające motyla, te jednak nie zasłaniają skrzydłami słońca. Owo coś zbliżało się z wolna ku ocalonym.

— Może to jakaś pozostałość po działalności Bała? — zastanawiała się Yishana.

— Mało prawdopodobne — odparł Elryk. — Dziwo wygląda na potwora przywołanego ręką ludzkiego czarownika.

— Theleb K'aarna!

— Przeszedł samego siebie — mruknął Elryk. — Nie sądziłem, że to potrafi.

— Chce zemścić się na nas, Elryku!

— Też tak sądzę. Ale ja jestem słaby, Yishano, a Zwiastun Burzy potrzebuje duszy, by dodać mi sił. — Spojrzał niedwuznacznie na wojowników, którzy zdumieni wpatrywali się w nadlatujące monstrum. Dobrze już było widać, że potwór ma ludzkie ciało pokryte piórami barwnymi jak u pawia. Tułów mierzył ponad dwa metry i dosłownie ginał pomiędzy olbrzymimi, piętnastometrowymi skrzydłami.

Zaszumiało, gdy monstrum rzuciło się na nich, nastawiając rosnące na głowie rogi i wysuwając szpony.

— Już po nas, Elryku! — pisnęła Yishana. Wojownicy rozpierzchli się, choć wołała, by zostali. Elryk stał bez ruchu wiedząc, że sam nie pokona motylowatej poczwary.

— Lepiej uciekaj z nimi, Yishano — powiedział. — To coś chyba zadowoli się moją osobą.

— Nie!

Zignorował jej deklarację i ruszył w kierunku istoty, która tymczasem wylądowała i przesuwała się powoli po ziemi w ich stronę. Książę dobył milczący miecz, który nadspodziewanie zaciążył mu w dłoni przekazując minimalną, z pewnością nie wystarczającą ilość siły. Jedyłą szansą było zadanie szybkiego i celnego ciosu w jakiś żywotny organ i podkradnięcie bestii nieco mocy.

Potwór zaskrzeczał, a jego szalone oblicze wykrzywiło się niemiłosiernie. Elryk rozpoznał w nim nie tyle istotę z piekłą rodem, ale niegdysiejszego człowieka przemienionego w skrzydlate monstrum za sprawą czarów Theleba, a to znaczyło, że potwór jest śmiertelny i dysponuje jedynie siłą fizyczną. W bardziej sprzyjających okolicznościach byłby to łatwy przeciwnik, teraz jednak. . .

Zatrzepotały skrzydła, szpony sięgnęły zdobyczy. Elryk ujął Zwiastuna Burzy w obie dłonie i ciął w szyję istoty. Skrzydła zwinęły się szybko, tworząc osłonę i miecz zagłębił się w osobliwej, lepkiej tkance. Jeden z pazurów rozdarł ramię albinosa aż do kości. Ten krzyknął z bólu i wyszarpnął miecz z cielska napastnika.

Księżę próbował złożyć się do następnego ciosu, ale monstrum chwyciło go za ranne ramię i zaczęło ciągnąć ku sobie, pochylając jednocześnie zakończoną skrzyconymi rogami głowę.

Elryk walczył wpijając palce w przedramiona bestii z siłą, jaką dać może tylko groźba bliskiej śmierci.

Nagle usłyszał jakiś krzyk dobiegający z tyłu i kątem oka ujrzał postać rzucającą się na potwora, trzymającą po mieczu w jednej i drugiej dłoni. Ostrza cięły po pazurach i skrzecząca bestia puściła Elryka.

To był Moonglum. Zdyszany księżę odskoczył i patrzył, jak rudowłosy przyjaciel zajmuje się motylowatym nieprzyjacielem.

Sam jednak nie wytrzymałby długo w tym starciu.

Elryk przetrząsnął umysł w poszukiwaniu jakiegoś przydatnego w takiej potrzebie zaklęcia, ale za nic nie mógł zebrać myśli, zresztą, jeśli nawet, był zbyt słaby, żeby uporać się z czarem.

I nagle pomyślał o Yishanie. Przecież nie przeszła przez tyle wyczerpujących prób. Może ona mogłaby wypowiedzieć zaklęcie?

Odwrócił się od bijącego skrzydłami potwora. Moonglum ledwo był w stanie powstrzymać go dwoma mieczami.

— Yishana! — krzyknął albinos.

Królowa podbiegła zaraz do niego i wzięła za rękę.

— Możemy uciec, ukryjemy się gdzieś. . .

— Nie. Musimy pomóc Moonglumowi. Słuchaj, rozumiesz, w jak ciężkich tarapatach się znaleźliśmy? Dobrze, miej to w pamięci, gdy będziesz powtarzać ze mną zaklęcie. Razem może damy radę. W tych stronach jest wiele gatunków jaszczurów, prawda?

— Zgadza się. . .

— Zatem słuchaj, co trzeba będzie powiedzieć i pamiętaj, że jeśli nam się nie uda, to ten pomiot Theleba wszystkich nas rychło wykończy.

Gdzieś w półświatach, gdzie rządzą inne niż człowiek stworzenia obdarzone jednak niejakim rozumem, pewna istota drgnęła i nastawiła ucha. Nazywała

się Haaashaastaak, była zimna i okryta łuską, pozbawiona prawdziwej inteligencji, posiadająca jednak odpowiednią świadomość. Była bratnią istotą Meerclara, Władcy Kotów, Roofdraka, Władcy Psów, Nuru-Aha, Władcy Bydła i wielu jeszcze innych stworzeń. Haaashaastaak to Władca Jaszczurów. Tak naprawdę, to nie słyszał samych słów, nie rozumiał ich sensu, ale rozpoznawał rytm, chociaż sam nie wiedział, dlaczego. Frazy powtarzały się regularnie, wydawały się jednak brzmieć zbyt słabo, by warto się było nimi zainteresować. Stworzenie jedynie przeciągnęło się i ziewnęło. . .

*Haaashaastaak, Jaszczurów Król,
Gadzie dzieci, ludzki rój,*

*Haaashaastaak, Jaszczurów Król,
Ocal wnuki, ród swój.*

*Haaashaastaak, Łuskowy Król,
zimna krew, a życia zdroj. . .*

Osobliwa była to scena, gdy Elryk i Yishana wyśpiewywali w kółko zakłęcie patrząc, jak Moonglum coraz słabiej opiera się potworowi.

Haaashaastaak drgnął w końcu, coraz bardziej zaciekawiony. Rytm był znajomy, na dodatek przybierał na sile. Stwór postanowił ruszyć się z miejsca i sprawdzić, co dzieje się z tymi, którym patronuje. Wiedział, że jeśli odpowie na wezwanie, będzie musiał posłusznie wykonać wszystko, czego zażąda wzywający. Nie miał oczywiście pojęcia, iż jest to wynik decyzji podjętej dawno temu, zanim jeszcze powstała Ziemia, przez Władców Ładu i Chaosu, którzy jeszcze wówczas żyli w jednym wymiarze i znani byli pod innymi imionami. Oni to przekazali wówczas nowemu światu stanowione prawa, a byli w tym posłuszni głosowi Kosmicznej Równowagi, który od tamtej pory nigdy nie przemówił.

Haaashaastaak leniwie wyruszył w podróż na Ziemię.

Elryk i Yishana niemal już zachrypli, gdy pojawił się nagle spojrzawszy na nich niczym olbrzymia iguana barwnymi, gadzimi oczami i błysnąwszy w słońcu łuską lśniąca niczym srebro czy złoto. Jego sylwetka rysowała się trochę niewyraźnie, jako że przyniósł z sobą odrobinę własnego świata.

Yishanie dech zaparło, Elryk wciągnął jednak głęboko powietrze. Jeszcze w dzieciństwie uczył się języków władców zwierząt, dzięki czemu przypomnienie sobie prostej mowy jaszczurów nie było teraz problemem. Słowa same napłynęły na usta:

— Haaashaastaak — krzyknął, wskazując na motylowatego stwora — mokik ankkuh!

Jaszczurzy władca obrócił oko na bestię, a wielki język strzelił nagle, owijając się wokół poczwary, która wrzasnęła przerażona, bijąc skrzydłami i nogami.

Droga do paszczy jaszczura nie trwała długo, wystarczyło kilka chwil, odrobina przeżuwania i szamotaniny w pysku, a twór Theleba został przełknięty. Haaasha-astaak rozglądał się jeszcze niepewnie przez kilka chwil, aż zniknął.

Teraz dopiero Elryk poczuł, jak bardzo boli go poszarpane ramię. Moonglum podszedł doń na miękkich nogach i uśmiechnął się z ulgą.

— Jechałem w pewnej odległości za wami, tak jak prosiłeś — powiedział. — Słusznie podejrzewałeś Theleba o zdradę. Śledziłem go aż do groty w tamtych wzgórzach — wskazał na horyzont. — Ale gdy rzeczony wlaź wreszcie do dziury, pomyślałem, że lepiej będzie podążyć za poczwara, bo udawała się wyraźnie w waszym kierunku.

— Cieszę się, że wykazałeś tyle roztropności — powiedział Elryk.

— Tak naprawdę, to sam się ocaliłeś. Gdybyś nie przejrzał Theleba, to pewnie nie byłoby mnie tutaj we właściwej chwili — odparł Moonglum opadając na trawę, uśmiechając się i ostatecznie mdlejąc z wyczerpania.

Elryk też poczuł się zmęczony i senny.

— Mam nadzieję, że teraz nie musimy obawiać się już niczego więcej ze strony twego czarownika, Yishano. Może twoja tchórzliwa armia wróci tu wreszcie, by można było wysłać żołnierzyków do wsi po jakieś konie.

Oboje wyciągnęli się na trawie, objęli się i zasnęli.

Ku swemu wielkiemu zdumieniu, Elryk obudził się w zaścielonym łóżku. Otworzył oczy i ujrzał nad sobą uśmiechnięte twarze Yishany i Moongluma.

— Jak długo tu jestem?

— Ponad dwa dni. Nie obudziłeś się, gdy przyprawdzono konie, kazaliśmy zatem żołnierzom zrobić nosze i zwieźć się do Dhakos. Jesteś w moim pałacu — powiedziała królowa.

Elryk ostrożnie poruszył sztywną, obandażowaną ręką. Nadal bolała.

— Czy moje rzeczy są wciąż w gospodzie?

— Pewnie tak, chyba że je skradziono. Czemu pytasz?

— Miałem tam woreczek z ziołami, które mogą szybko uleczyć moją ranę i dodać mi nieco sił.

— Zajmę się tym — powiedział Moonglum, wychodząc z komnaty.

Yishana pogładziła Elryka po jasnych włosach.

— Wiele o tobie rozmyślałam, Biały Wilku — szepnęła. — Uratowałeś moje państwo, a najpewniej wszystkie Młode Królestwa. Tym samym odkupiłeś śmierć mojego brata.

— Dzięki ci, o pani — syknął Elryk.

Roześmiała się.

— Wciąż jesteś Melnibonéaninem.

— Jak najbardziej.

— Dziwny z siebie człowiek. Wrażliwość i okrucieństwo, sardonizm i lojalność wobec Moongluma. Chciałabym poznać cię lepiej, mój panie.

— Jeśli o to chodzi, to nie wiem, czy będziesz miała po temu sposobność.

Spojrzała na niego badawczo.

— Czemu?

— Niedokładnie opisałaś mój charakter, królowo. Powinnaś dodać jeszcze, iż nie zwracam uwagi na świat wokół mnie, a jednak jestem mściwy. Mam ochotę zająć się twoim specjalistą od sztuczek magicznych.

— Ale on już jest skończony! Tak przynajmniej mówiłeś.

— Jak sama wspomniałaś, wciąż jestem Melnibonéaninem! Dość we mnie arogancji przodków, by pożądać zemsty!

— Zapomnij o nim. Wyślę za nim Białe Leopardy, a oni na pewno go upolują. Nawet czary rzadko bywają skuteczne wobec tych dzikusów!

— Zapomnieć o nim? O, nie!

— Elryku, Elryku... Dam ci moje królestwo, ogłoszę cię władcą Jharkoru, tylko zostań ze mną.

Albinos pogładził zdrową dłoń jej nagie ramię.

— To nierealne, królowo. Wywołałabyś jedynie rebelię w kraju. Dla twojego ludu wciąż jestem zdrajcą z Imrryru.

— Nie, teraz jesteś bohaterem z Jharkoru.

— Jakim cudem? Oni nic nie wiedzieli o niebezpieczeństwie, więc nie będą odczuwać wdzięczności. Najlepiej się stanie, jeśli ureguluję mój dług wobec czarownika i ruszę swoją drogą. Już teraz ulice muszą huczeć od plotek, że wzięłaś do łóżka mordercę swego brata. Twoja popularność wśród poddanych jest pewnie mniejsza niż kiedykolwiek, pani.

— Mało mnie to obchodzi.

— Gdy szlachta poprowadzi lud do insurekcji i ukrzyżuje cię nagą na jakimś placu miasta, wówczas, podejrzewam, zaczniesz cię to obchodzić.

— Widzę, że dobrze znasz nasze zwyczaje.

— Mieliśmy dobre szkoły w Melniboné, pani.

— Kształcące wszechstronnie w rozmaitych sztukach.

— Dokładnie tak.

Elryk poczuł, jak jego krew zaczyna krążyć żywiej, podszedł zatem zaprzeć drzwi. W tej chwili poszukiwane właśnie przez Moongluma zioła nie były mu wcale potrzebne.

Gdy wieczorem wykuśtykał z komnaty, w antyszambrach znalazł przyjaciela cierpliwie czekającego z woreczkiem. Rudowłosa wręczył mu pakunek mrugając porozumiewawczo, ale Elrykowi nie było do żartów. Wybrał kilka gatunków ziół i przeżuł garść suszu.

Moonglum patrzył na to z niejakim obrzydzeniem. Gdy lekarstwo zostało już zażyte, obaj wymknęli się z pałacu.

Ze Zwiastunem Burzy przy boku Elryk jechał nieco przed Moonglumem, wiodąc ku okalającym Dhakos wzgórzom.

— Na ile znam czarowników z Pan Tangu — mruknął albinos — to Theleb powinien być jeszcze bardziej wyczerpany niż my. Przy odrobinie szczęścia zaskoczmy go we śnie.

— Poczekam przed jaskinią, aż rozprawisz się z nim — powiedział Moonglum mając już niejakie pojęcie o podejściu Elryka do spraw takich jak zemsta i nie miał ochoty przyglądać się powolnemu wyduszaniu życia z kogokolwiek.

Poganiali żywo konie, aż dotarli do wzgórz i rudowłosego przyjaciela pokazał Elrykowi wejście do groty.

Zostawiwszy wierzchowca, albinos dobył miecza i cicho zniknął w środku.

Moonglum czekał niespokojnie, czy usłyszysz jęki czarownika, ale wciąż panowała cisza. Cekał tak do świtu, gdy Elryk wreszcie wyjrzał na zewnątrz. Twarz miał ściągniętą gniewem.

Szarpnął uzdę konia i wskoczył na siodło.

— Zadowolony? — spytał ostrożnie Moonglum.

— Zadowolony? Też coś! Ten pies zniknął! — Ależ...

— Był sprytniejszy, niż sądziłem. Ta pieczara prowadzi do następnych, we wszystkich szukałem. W najdalszej odkryłem na ścianach i podłodze ślady czardziejskich runów. Przeniósł się gdzieś i na razie nie mam pojęcia gdzie, chociaż odczytałem większość znaków. Może do Pan Tangu.

— A zatem wyprawa zakończyła się fiaskiem. Wracajmy zatem do Dhakos nacieszyć się jeszcze trochę gościnnością Yishany.

— Nie. Udajemy się na Pan Tangu.

— Ależ, Elryku, pobratymcy Theleba są potężni, a Jagreen Lern, tamtejszy teokrata, nie dopuszcza obcych na wyspę.

— Mniejsza z tym. Chcę dokończyć porachunki z Thelebem K'aarna.

— Ale nie masz żadnego dowodu, że on jest właśnie tam!

— Nieważne.

Elryk pogonił konia niczym ktoś zmykający przed śmiertelnym niebezpieczeństwem. Może zresztą rzeczywiście uciekał, opętany. Moonglum nie ruszył za nim od razu, ale przez chwilę w zamyśleniu obserwował przyjaciela. Rzadko skłonny do refleksji, teraz zastanawiał się, czy przypadkiem Yishana nie zapadła Elrykowi w serce o wiele bardziej, niż ten by pragnął. Nie podejrzewał, aby to właśnie zemsta była głównym powodem przeszkadzającym księciu w powrocie do Dhakos.

W końcu jednak ścisnął konia piętami, by dogonić Elryka galopującego po odkrytych poranną rosą łąkach. Może, gdy już na dobre oddalą się od Dhakos, Pan Tang przestanie być celem ich podróży.

Elryk zaś nie myślał o niczym, pozwalał się nieść emocjom, których nie próbował nawet analizować. Białe włosy powiewały w pędzie, blada, urodziwa twarz zastygła w grymasie, smukłe dłonie kurczowo zacisnęły się na wodzach. Jedyne w karmazynowych oczach dostrzec można było ślad toczącej się w jego duszy walki.

W Dhakos zaś jeszcze inne oczy wyrażały tego ranka jedynie smutek. Nie trwał on jednak nazbyt długo, bowiem Yishana była pragmatyczną królową.